Nr. 3. Poznań, Niedziela 15go Kwietnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Prenumeratę:
w Poznaniu: przyjmuje Administracya, Piekary 7, za M. 3 kwartalnie.
w Niemczech i Austryi: urzędy pocztowe za M. 3,75 kwartalnie pod lit II. t. 86 a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Od Redakcyi.

Członkom Komitetu Redakcyjnego donosimy, ze posiedzenia odbywają się w każdy Wtorek o godzinie 5-tėj w biurze Redakcyi przy ulicy Bramkowéj Nr. 7.

POLITYKA.

O własnych siłach.

Zarówno opozycya polskich przedstawicieli w Berlinie, jak pełne spokoju i duchem pojednawczości owiane ich stanowisko w latach ostatnich do tego samego przyprowadziły nas rezultatu.

W chwili największych nadziei, kiedy po upadku argumentów przeciw nam zwracanych upadła pozornie i racya ustaw wyjatkowych, a narodowość polska pod pruskim zaborem mogła się słusznie spodziewać uznania ze strony rządu prac jej obywatelskich — przez uznanie praw ludzkich, — w chwili, kiedy nadzieje te przybrały pozory prawie pewności, a my oczekiwaliśmy tylko ostatecznego ich potwierdzenia przez przedstawiciela rządu, padły z ust jego słowa, które nas na długo, jeżeli nie na zawsze, uleczyć powinny od wszelkich złudzeń bezpłodnych.

W umotywowaniu nowej zmiany w szkolnictwie niemieckiem p. minister Bosse wyraźnie zaznaczył, że: celem rządu nie jest bynajmniej uwzględnienie wymagań polskich. Przeciwnie, ministeryum ograniczyć pragnie za daleko w jego pojęciu idące wpływy i przywileje, jakie językowi polskiemu miało przyznać pozwolenie nauczania w szkólnym gmachu za prywatne pieniądze.

Nauka prywatna była według zdania ministra oświecenia szkodliwą dla interesów niemieckich, usunięto ją zatem bez żadnego skrupułu, podstawiając natomiast korzystniejszą dla tych interesów urzędową naukę fakultatywną.

Byłoby zatem śmiesznością nie tylko już w oczach polskich, ale nawet wobec rządu samego upierać się przy nazwie choćby najdrobniejszego ustępstwa tam, gdzie wchodzi w grę li tylko poprawa przez rząd dawniejszych błędów, popełnionych w taktyce germanizacyjnej.

Upieranie się takie byłoby tem niestosowniejszem ze stanowiska lojalnego, bo do pewnego stopnia paraliżowałoby wysiłki pana ministra, starającego się przed opinią niemiecką oczyścić z zarzutu przychylności dla naszej sprawy i zapewniającego ją, że nie tylko naszych znanych żądań nie uwzględni, lecz oprze się stanowczo nawet tym, których jeszcze nie zna, a tem samem i stopnia słuszności których nie mógł wcale zbadać....

Tak więc za pełne uległości zachowanie się, za skrupulatne i z poświęceniem najbliższych interesów stosowanie się do woli władz. za przytłumienie ducha i zatrzymanie narodowego oddechu zapłacono nam zniesieniem ustawy, dającej bądź co bądź wpływy pewne w nauczaniu polskiego języka i pozwolono miłościwie zatrzymać w kieszeni kilkadziąt tysięcy marek na ten cel dobrowolnie przez naród łożonych.

Jeżeli zatem opozycya ściągnęła na nas gromy, które wstrząsnęły społeczeństwem całem, pobudziły go do intenzywniejszego życia, powołały ofiarność publiczną i instytucye na ofiarności tej oparte a celom narodowym służące do energicznej działalności — ta zasada uległości i gotowości do wszelkich usług sprowadziła nas rzeczywiście do roli sług, którym odbiera się najmniejsze prawa i wpływy, nawet w dziedzinie ojczystego języka, za spełnianie poleceń płacąc pieniędzmi.

Lecz naród, co nie zadrżał przed gromami i mężnie im przeciwstawił niespożytą swą siłę, odczuje także i doniosłość najświeższej krzywdy, połączonej z moralnym policzkiem.

Otworzy mu ona oczy i zrozumie, że: nie na barki posłów skazanych na szukanie dróg wyjścia, tam, gdzie wyjścia wcale nie ma, lecz: na zasadniczy błąd w polityce naszej narodowej spada wina za zawiedzenie ostatnich nadziei równie jak za wiele zawodów poprzednich,

Zasadniczym tym błędem, który sięgając daleko przed czas rozbioru, snuje się po nim nieprzerwanym szeregiem klęsk politycznych i społecznych jest: brak zaufania do sił własnych, a przecenianie dobrej woli ludów oraz zaborczych i niezależnych rządów.

Oczekiwanie pomocy, oparte na złudnych nadziejach, uniemożliwiało skupienie sie wewnętrzne, trzeźwą i na własne siły obliczoną działalność w tym samym mniej więcej stopniu, w jakim dziś nadzieja osiągnięcia korzyści na drodze dyplomatycznej za pomocą takiej lub innej postawy posłów odwraca uwagę od tego, co powinno być środkiem ciężkości naszego narodowego życia, — od wewnętrznej i o własnej sile prowadzonej pracy.

Gabinetowe uchwały nie przywrócą nam sprawiedliwości równie jak nie mogły i nie chciały odbudować upadającej Polski.

Niech głos posłów naszych będzie protestem i świadectwem krzywd, które nas spotkały i które nas jeszcze spotykać będą — a wewnętrzna praca w kraju musi być bezustanną krzywd tych i ich skutków naprawą bez nadziei pomocy i wsparcia zkądkolwiek.

Rząd przez powołanie Niemców o polskich nazwiskach na wysokie urzędy wyraźnie nam wskazał, czem się mamy stać, chcąc być równouprawnionymi, niech ta wskazówka starczy za przestrogę dla nieumiarkowanych fanatyków ugody i otworzy im raz oczy na rządowe pojmowanie lojalnizmu.

Zawiedzeni świeżo w nadziejach odzyskania pewnych praw w dziedzinie języka, od chwili, kiedy nawet nauka prywatna w budynkach szkólnych wymyka się z rąk naszych, a powstająca na mocy nowej ustawy urzędowa nauka jest raczej cieniem nauki, pracę naszą w kierunku naprawy skutków „słynnej koncesyi“ podjąć musimy.

Bracia nasi pod zaborem rosyjskim walczący z barbarzeństwem i ciemnotą rusyfikującą ludność, w gorszem stokroć są położeniu — oni zmuszeni są bezprawiu przeciwstawić nielegalne drogi i środki, tajnie uczyć dzieci, tajnie im pod groźbą Sybiru siać ziarno miłości kraju, budzić wzniosłe uczucia narodowe i świadomość.

Wązkim pasem granicznym oddzielona od nas matka Polka, w tajemnicy przed policyą uczy dziecko kochać i cierpieć za ojczyznę — tam ksiądz pod groźbą cytadeli niesie religijną pociechę, uczeń w ukryciu poznaje rodzinnych bohaterów... a u nas — legalne i prawem dozwolone drogi leżą zaniedbane.

Zamiast oczekiwać koncesyi z Belina i w oczekiwaniu tracić czas i gnuśnieć moralnie, po tych zaniedbanych drogach deptać nam należy.

Każdy dom — szkołą języka i historyi polskiej, każdy Polak i Polka uczniem lub nauczycielem być powinien.

Domowa nauka języka polskiego teraz dopiero po zawiedzionych nadziejach w całej pełni i z całą intenzywnością rozpocząć się musi.

Od chwili, w której przestaniemy ją uważać za tymczasową, lecz za święty i niezależnie od postawy rządu spełniany obowiązek, nabierze ona dopiero prawdziwej doniosłości i znaczenia.

Na siebie tylko wyłącznie licząc, nie zawiedziemy się w rachubach a w sercach wzrastających pokoleń wzniesiemy gmach miłości kraju i języka bez pomocy rządu o własnych siłach.

Na czasie.

W znakomitem dziele hr. Stanisława Tarnowskiego p. t. „Zygmunt Krasiński“ znajduje się jeden ustęp charakterystyczny, który tu jako „słowo na czasie“ in extenso przytaczamy:

„Krasiński znał dobrze Polskę i jej skłonności; wiedział, że jest w nas jakiś wrodzony murzyński i dziecinny pociąg do wszystkiego, co błyszczy; że wielcy tego świata wywierają na nas urok nie opisany, nie odparty; że na pochlebstwo, na połechtanie i pogłaskanie mi-

łości własnej, złapać nas łatwo. Na jakiż inny lep łapały dwory zagraniczne, cesarski, francuzki, elektorski, w ostatnim wieku rosyjski, swoich stronników w Polsce? głównie na pochlebstwo, na oznaki uszanowania, poważania, przychylności, zażyłości. Atmosfery dworów mają szczególną własność upajania i odurzania głów polskich. Jest to widoczne na wszystkich szczeblach dworów; od dworu szlacheckiego na wsi, który działa bardzo silnie na wyobraźnię mieszkańców sąsiedniego małego miasteczka, przez dwór zamożnego lub bogatego królika powiatowego, który wielce zajmuje zwykle myśl i uwagę sąsiadów, przez dawne dwory magnackie, złożone z licznej szlachty i trzęsące Rzpltą, aż do dworów królewskich, wywierają na nas dwory jakąś dziwną, magnetyczną atrakcyę. My lubiliśmy dawniej zaglądać do Wersalu albo do wiedeńskiego Burgu, to nas podnosiło w oczach własnych i w oczach rodaków; i dziś jeszcze wszelki dwór lub choćby mały dworek imponuje i podoba się nam bardzo. Oczywiście nie jest to skłonność i niebezpieczeństwo Pankracego, ale Hrabiego Henryka; on wskutek swego położenia w świecie ma i ten pociąg wyraźniejszy więcej wyrobiony, i właściwie on najpierwszy, jeżeli nie jedyny, narażony jest na takie pokusy. A pokusy są straszne; gubi się w nich dwie rzeczy, cześć własną i miłość Ojczyzny.

Dopóki jeszcze skłonność ta jest tylko murzyńskim pociągiem do błyskotek, dopóki się ogranicza na Tuilleriach albo Windsorze, to mniejsza; to tylko dzieciństwo, w najgorszym razie śmieszność, albo niepotrzebna strata pieniędzy. Ale gdyby z tej manii błyskotek chciał zręcznie skorzystać jaki nieprzyjaciel, gdyby jej schlebiał i ciągnął za nią, a są nieprzyjaciela, którzy sztukę schlebiania i ujmowania posiadają w wysokim stopniu, czy wtedy nie poszłoby na lep wielu? czy niejedna polska tradycya nie poszłaby terać się po kątach jakiego dworskiego pałacu? czy przez poprzyjaźnienie się z mężczyznami, przez wdzięk kobiet, nie jeden z nas nie oswoiłby się ze swoimi panami, czyby do nich wkońcu nie przylgnął? Delikatny pyłek męzkiego honoru, wrażliwość narodowego uczucia, ściera się tak nieznacznie i tak łatwo, jak lekka barwa kobiecej godności; zacząć można nieraz od rzeczy nieszkodliwych, obojętnych, niewinnych, a skończyć na tem, że się znajdzie i powie „podłość jest jak gorąca kąpiel", z początku parzy, ale potem w niej bardzo przyjemnie. Kwestya godności narodowej, kwestya stosunku każdego poszczególnego człowieka do rządów obcych i ich reprezentantów, pojmowana w Polsce najrozmaiciej od purytanizmu najprzesadniejszego aż do brzydkiej giętkości i służbistości, upozorowanej jakąś hypokryzą obowiązku i poświęcenia, ma to do siebie, że się w żadne stałe przepisy ująć nie da, a jest rzeczywiście jedną z najważniejszych, najbliżej obchodzących żywotność i przyszłość narodu. Książę Adam Czartoryski żył na dworze petersburskim, jak salamandra w ogniu, a wyszedł z tego ognia tak cały, nietknięty i czysty, jak trzej młodzieńcy z rozpalonego pieca w Babilonie. Margrabi Wielopolskiemu przyznawano nawet w czasach, kiedy niechęć do niego dochodziła do namiętności, że swoją godność polską zawsze trzymał wysoko i umiał utrzymać. Pokazuje się więc, że można ją zachować pomimo stosunków najczęstszych i najbardziej urzędowych, pomimo zależności i podwładności; a można ją zmarnować i sponiewierać bez żadnych stosunków i bez żadnej pokusy, z głupiej próżności, ze strachu, ex libidine servitii, albo z namiętności do dworskiej atmosfery i dworskich honorów. A tymczasem ta kwestya godności narodowej, która się w żadne reguły ująć nie da, jest niezmiernie ważną; od niej zależy w wielkiej części przechowanie w całej czystości nie samej tylko polskiej tradycyi, bo przez oswojenie z obcymi można dojść do życia za granicą, dalej do małżeństw, do stosunków rodzinnych, a to wszystko powtarzające się często, zagęszczające się, prowadzi do zatracenia i zapomnienia nie już tradycyi, ale samej idei narodowej. Krasiński to czuł; znając naszą naturę, wiedział, że takie niebezpieczeństwo grozić może; że przez próżność, przez miłość popisu i pompy, wielu z nas, zwłaszcza takich, którzy przez majątki, stosunki, historyczne nazwiska, są najbardziej na widoku, najbardziej znani w Europie, może się dać skusić do utraty godności; wiedział to, biedny, bo miał doświadczenie, miał przykłady na takich, którzy go obchodzili. A i bez tego nawet w jego sercu wielkiem i wyniosłem, nie było może popędu tak żywego, instynkt tak czujnego i drażliwego, jak ten instynkt godności. „Duma strącona z nieba z szatanem, miała anielską siostrę, która została w niebie", mówi on w jednym ze swoich listów „i nazywa się Godność". Bał się więc o tego anioła, bał się, żeby złudzenia próżności, miękkości, rozkoszy, nie odwiodły nas od jego czci i służby, i napisał „Pokusę". *)

*) Małachowski świadczy (Krótki Rys etc.), że „Pokusa" pisaną była dla młodziutkiego wtedy Adama Potockiego, gdy ten w sprawach majątkowych miał jechać do Petersburga.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Slovenski Narod" w nr. 73 pod nagłówkiem: „Obrekovalci osromočeni" („Oszczercy zawstydzeni") pisze, co następuje:

„Przed kilku tygodniami przyniósł dziennik krakowski „Czas" wiadomość, jakoby ks. Grzegorz Einspieler, który jest przywódzcą Słoweńców karyntyjskich i posłem na sejm krajowy, odbierał zapomogi pieniężne od „Słowiańskiego towarzystwa dobroczynności" w Petersburgu" i to w uznaniu zasług za szerzenie prawosłowia! Krakowski dziennik wiarogodność tej wiadomości opierał na doniesieniu, otrzymanem z Petersburga, w którem jego korespondent rzekomo donosił, że był obecnym przy czytaniu sprawozdania owego towarzystwa.

Ksiądz Einspieler wiadomość tę odwołał i nazwał doniesienie „Czasu" oszczerczą infamią. Kto tylko znał ks. Einspielera, ten ani chwili nie wątpił o fałszywości tego doniesienia. Wiedzieli o tem zarówno jego przeciwnicy, którzy ze sprawy tej nie omieszkali korzystać, powtarzając ową denuncyacyę za „Czasem". Zdziczenie tutejszej niemieckiej prasy pokazało się w całej nagości. Ks. Einspielerowi denuncyacya ta przyniosła cały szereg nieprzyjemności. Ministerstwo nakazało krajowej władzy karyntyjskiej przeprowadzić śledztwo i wezwało Biskupa, aby nakazał ks. Einspielerowi z zarzutu się usprawiedliwić.

„Wiemy, że ks. Einspieler udał się z wezwaniem do „Czasu", aby mu podano źródło, skąd tę wiadomość zaczerpnięto, również pisał do „towarzystwa dobroczynności" w Petersburgu, dotąd atoli żadnej na zapytanie nie odebrał odpowiedzi.

„To tylko jest faktem.

„Czas" doniósł o tem 11 lutego, pisząc, że jego korespondent słyszał nazwisko ks. Einspielera w sprawozdaniu, będąc na posiedzeniu towarzystwa. Tymczasem obecnie wiadomo, że posiedzenie dopiero 27 lutego się odbyło, a więc całych dni 16 po doniesieniu „Czasu". Na zebraniu z dnia 27 lutego czytano sprawozdanie, w którem atoli żadnej wzmianki o ks. Einspielerze nie było.

„Udowodnionem jest więc aż do ewidencyi, że „Czas" kłamał, oraz, że kłamały wszystkie dzienniki, które wiadomość tę za „Czasem" powtórzyły. Chciano widocznie tym sposobem pozbawić ks. Einspielera czci i poważania, ale to się nie powiodło i dziś dzienniki te należy napiętnować mianem oszczerców. Ponieważ prasę tę za taką już dawno uważaliśmy, więc się denuncyacyi nie dziwimy.

„Zadajemy sobie tylko pytanie: jakim sposobem w mowie będąca korespondencya doszła do redakcyi „Czasu"?

„Korespondencya ta napisaną została według wszelkiego prawdopodobieństwa w Celowcu

---

3)

CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

(Ciąg dalszy.)

Nie wątpił bowiem ani na chwilę, że sama Murawska chce zrobić „pikę" swoim przyjaciółkom i trochę się zabawić kosztem ich żółci. Ha, może zresztą, sprzykrzyło jej się życie próżniacze i zapragnęła wzorem niewiast młodszej generacyi być społeczeństwu pożyteczną.

Tu zjawiła się wprawdzie kwestya, jaki pożytek osiągnie ludzkość z faktu, że zamiast płci brzydkiej, płeć bosko-piękna sprzedawać będzie stare świeczniki, no, ale bądź co bądź Murawska postąpiła sobie śmiało i ekscentrycznie.

Pod wpływem tego miłego wrażenia wzmógł się w nim pociąg ku ślicznej kobietce i pod wpływem też miłych refleksyj zagadnął żartobliwie:

— Wybieram się już oddawna do Klapnera, żeby jakąś bagatelkę kupić, ale tyle gapiów musi tam przechodzić, żeby panią przy biurku widzieć, że... że doprawdy wstyd mi było ich liczbę powiększać.

A ona z nagłej wesołości pochylając się nad talerzem, odrzekła:

— Masz pan racyę, przez pierwsze trzy miesiące kompletnie drzwi się nie zamykały i czy da pan wiarę, mieliśmy ogromny odbyt!

W tym śmiechu tyle było niewinnego, dziecięcego prawie zadowolenia, taki zupełny brak akcentu, jakiejkolwiek psoty, że Walery spoważniał odrazu i uczuł potrzebę zbadania sprawy dokładniej.

— Wyobrażam sobie — mówił, jak chłodno musi panią teraz czytać ta stara klempa, profesorowa Iglicka.

— A! niech pan o niej nie mówi nic złego, to bardzo poczciwa kobieta. — Klempa! stara klempa!... Ha, ha, ha! wyborny pan jesteś ze swemi terminami. Nie, mówię seryo, odwiedza mnie ona często i zawsze okazuje dawną życzliwość.

— Czy być może? No, no, któżby się tego spodziewał...

W Walerym coś jękło. Z wielkim impetem chwycił butelkę burgunda, nalał sobie pełny dużych rozmiarów kielich i wychylił duszkiem. Usta obtarł energicznie serwetką, cały czerwony zaiskrzonem okiem.

— Co panu jest? — spytała szybko, z odcieniem niepokoju w głosie.

Uśmiechnął się z przymusem.

— To wspomnienie tej kochinchińskiej kury taki mi niesmak sprawiło, że musiałem popić winem.

— Panie! ale co ona panu złego zrobiła?!

— E, dajmy temu pokój.

Skrzywił się komicznie, włożył na nos binokle o przydymionych zlekka szkłach, jak gdyby nie chciał zdradzić ognia swoich oczów, wysilił się na minę całkiem obojętną i innym całkiem tonem, tonem zwykłej gawędy, zapytał.

— Bywa pani często w teatrze?

O, mogę się pochwalić, żem nie opuściła jeszcze ani jednej premiery, onegdaj właśnie byłyśmy z mecenasową Rychter na „Jaszczurce". Ach, mówię panu, świetna sztuka... A co najlepsza — tu policzki pani Murawskiej zaokrągliły się uśmiechem w smakowitą brzoskwinię — to, że widzimy na scenie znajome twarze. Co ten Gadziński wyrabia swoją fizyonomią! Drugi Józio Koszycki! Powiadają, że dojdzie między nimi do pojedynku, bo Koszycki w połowie trzeciego aktu wyszedł blady jak ściana i więcej nie wrócił.

— Boże mój! wtrącił Walery z tragiczną powagą, jeszcze gotowi się pozabijać, bo te pojedynki kończą się niekiedy krwawo.

— A tak, z Gadzińskim nie ma żartów. Podobno jest djablo porywczy. Nie, mojem zdaniem, taki znakomity aktor powinien być wolnym od dawania satysfakcyi pierwszemu lepszemu chłystkowi. Panie, jak on gra, co to za dykcya, co za postawa! Kiedy on wystę-

Karantyjscy przeciwnicy ks. Einspielera kuszą się już o to od dawna, aby skompromitować zasłużonego męża, gorącego patryotę. Nie mogąc tego innym sposobem dokonać, napisali ową korespondecyę do „Czasu“. Wiedząc zaś o tem, że „Czas“ czyta się w ministerstwie, oraz, że dziennikom polskim jakiekolwiek informacye o Rosyi pożądane, wpadli na pomysł piekielny napisania owej korespondecyi.

„Kwestya jest więc załatwioną, chlubnie dla ks. Einspielera, sromotnie dla jego oszczerców. Boleśnie nam tylko, że czcigodny nasz poseł musiał walczyć z pobnymi ludźmi, którzy nie są warci tego, abyśmy się nimi zajmowali.“

Młodoczeskie, a bałwochwalstwem dla Rosyi przejęte „Narodnie Listy“ piszą w nr. 86 o stosunku Polaków do trójprzymierza, co następuje:

„Polacy w ostatnich latach 15 pokładali wszystkie swoje nadzieje w trójprzymierzu, po którem spodziewali się, że Rosyą zwycięży i rozbije i że tym sposobem odbudowane będzie nowe państwo polskie — choć nie od morza do morza — to przynajmniej po Dniepr i Morze Czarne.

„Zawarcie traktatu handlowego z Rosyą na lat dziesięć zniszczczyło te budowane na lodzie, zamki które wystawiała bujna fantazya polska. W bieżącem stuleciu nie będzie koalicyi europejskiej przeciw Rosyi.

„Zdaje się, że ta nowa sytuacya wprowadz Polaków na nowe tory, a powiedzmy prawdę, na tory właściwsze.

„Warszawski korespondent „Nowej Reformy“ skarży się na to, że Polacy, rozdzieleni politycznie na trzy części, mało się znają, że o sobie mało piszą prawdy. To też w pismach pojawiają się korespondencye, które podają fakty w świetle fałszywem, bez należytego objaśnienia i związku, a często rzeczy wręcz nieprawdziwe.

„Według naszego zdania, przyczyną tego, że Rosya Polakom żadnych ustępstw podczas ery trójprzymiorza nie uczyniła, jest to (?), iż Polacy ani chwili nie taili się z tem, że nie chcą być harcownikami europejskiej koalicyi w walce z Rosyą. Myśmy nigdy nie twierdzili, żeby Polakom pod względem narodowym i moralnym niczego pod rządem rosyjskim nie brakowało, wszakże umiemy sobie wytłomaczyć fakt, że Rosya nie czyniła zadość tym licznym i sprawiedliwym wymaganiom Polaków. Nie, a czyniła to dla tego, że Polacy występowali wszędzie jako najzawziętsi nieprzyjaciele Rosyi, odpychający już naprzód każdą myśl porozumienia.

„Bo czyż to dawno temu, że Polacy energicznie zaprotestowali przeciw zaprowadzeniu słowiańskiej liturgii w Polsce, o co dla nich starała się Rosya w Rzymie? (!!)

Długi peryod pokoju, którego Europa zażywać będzie, nakłada na Polaków obowiązek, ażeby we własnym interesie postarali się o złagodzenie przeciwieństw istniejących pomiędzy nimi a Rosyanami. Co się zaś tyczy pisania prawdy o Rosyi, to Polacy powinni przedewszystkiem o sobie prawdę pisać i mówić, siebie krytykować, w sobie samych szukać przyczyny upadku narodowego i rozkładu społecznego“.

O encyklice papiezkiej do Biskupów polskich piszą „Narodni Listy“ obszernie, robiąc w końcu taką uwagę:

„I dla nas jest encyklika ta pod niejednym względem wiele dająca do myślenia. I Rzym czyni ustępstwa, jak to wykazała encyklika do Biskupów madziarskich, a obecnie polskich, na rzecz narodowości. Ale czyni to tylko tam, gdzie naród potrafi zachować swój charakter odrębny w wyższej hierarchii kościelnej.

„Tak jest u Polaków i u Madziarów, więc w Peszcie, w Warszawie, Krakowie i Poznaniu przemawia Rzym patryotycznie. U nas kładzie wagę tylko na stronę religijną i przemawia przez Wiedeń.

„Charakter nasz narodowy w encyklikach papiezkich jakoby wymazanym został! A przecież i my mieliśmy kiedyś równe prawa. Czyżby na zawsze już pogrzebane były?“

O najnowszem przesileniu gabinetowem w Serbii piszą zadarskiemu dziennikowi serbskiemu „Narodni List“, co następuje:

„Są dwie przyczyny upadku gabinetu Simicza: list Mijatowicza do bankiera francuzkiego Hoskiera, który jest maklerem politycznym rządu serbskiego i opór Simicza i Mijatowicza wobec Aleksandra i Milana, którzy domagali się prześladowania bezwzględnego radykałów.

„W liście do Hoskiera pisał Mijatowicz, ażeby wszędzie rozgłaszał, iż obecna zmiana rządu i ostatnie wypadki w Serbii żadnego nie mają związku z polityką zagraniczną Serbii. Rząd obecny zachowuje kierunek dawniejszy. Simicz starać się będzie, ażeby w polityce zagranicznej było zawsze porozumienie z Rosyą, na opiece której królowi Aleksandrowi wiele zależy.

Dalej w owym liście wyraża żal, że Simicza w Petersburgu nie przyjęto, żądając wpierw od rządu serbskiego dopełnienia pewnych zobowiązań.

Jakie to zobowiązania były wychodzi na jaw z dalszych relacyj, które z Białogrodu przyszły. Oto car Aleksander otrzymał od Milana przyrzeczenie, że nigdy już do Białogrodu nie wróci. Za to postarał się car, że bank rosyjskj „Wołga Kama“ finanse byłego króla uporządkował.

Z tej to przyczyny miał rząd rosyjski uważać za złamanie słowa przybycie Milana do Białogrodu.

Gdy prezydent ministrów serbskich, Simicz rozpoczął podróż po stolicach europejskich, wystosował zapytanie do Petersburga, czy car go przyjmie. Na to dano mu odpowiedź taką, że nigdy, dopóki Milan w Białogrodzie. Natomiast Milan miał odpowiedzieć, że choćby i mógł Białogród opuścić, toby nie uczynił tego, bo naraziłby na niebezpieczeństwo syna.

Drugą przyczyną upadku gabinetu Simicza miało być wzdraganie się jego przed użyciem środków gwałtownych przeciw radykałom.

Mijatowicz i Simicz byli w tem jednego zdania. Obaj na posiedzeniu gabinetu podnosili potrzebę oraz konieczność łagodnego postępowania wobec radykałów. W gabinecie powstały ztąd nieporozumienia i w dalszem następstwie przesilenie.

Simicz i Mijatowicz nie zmienili swych zapatrywań, poczem król Aleksander zwrócił się ku Nikolajewiczowi, przyjął dymisyą i Nikolajewiczowi powierzył utworzenie nowego gabinetu.

W Zagrzebiu wychodzi nowy chorwacki miesięcznik naukowo-polityczny pod tytułem „Letopis“. Pierwszy tom „Letopisa“ przynosi artykuł wstępny o najnowszych wypadkach w Chorwacyi, dalej dane statystyczne, dotyczące ludności chorwackich, szematyzm chorwacko-słowiańskich urzędów, chorwacką bibliografię, w końcu ogólny przegląd polityczny.

W dziale statystycznym znajdujemy dane odnoszące się do ostatniego spisu ludności w Chorwacyi.

Według zestawień „Letopisa“ żyje w ziemiach chorwackich 2,201,227 mieszkańców, włączając 15,517 żołnierzy. Według narodowości byłoby Chorwatów i Serbów 1,921,719 (87,97 proc.), 117,493 Niemców, 68,794 Madziarów, 27,521 Czechów, 20,987 Słoweńców, 13,614 Słowaków, 3,609 Rusinów i 12,676 innych narodowości. Żydów jest w Chorwacyi 17.261.

Listy z Anglii.

I.

Czy „wschodzące słońce“, t. j. hrabia Rosebery wniesie do partyi liberalnej tyleż ożywczego ciepła, którem dawniej promieniało „zachodzące słońce“, t. j. Gladstone — that is the question, oto jest pytanie.

Stronnictwo konserwatywne udaje, że widzi już

---

puje, dla mnie teatr staje się rajem na ziemi... Ale, że pan tak rzadko bywa w „Rozmaitościach“.

— Bo w tym raju za wiele ludzi i nie ludzi.

— Ale cóż też pana to może obchodzić? Co do mnie, to wiem, że całą moją uwagę pochłania Gadziński. Zna go pan osobiście?

— Nie! nie mam szczęścia...

— Ach, panie, to czarujący człowiek! Doprawdy, nie dziwię się wcale, że wszystkie artystki naszej sceny szaleją za nim, to prawdziwy wybraniec bogów. Mnie się zdaje, że dziś już mężczyzn z taką postawą i rycerskością nie ma. A co za wymowa, co za dowcip, co za głos!

— Tak, to ideał człowieka...

Położenie stawało się dlań nieznośnem. Ciągnąć dalej przykrą rozmowę — nie prowadziło do niczego i nie bawiło go. Coś w rodzaju zazdrości odbierało mu swobodę. Siedział już teraz jak na szpilkach. Całkowicie zdawał sobie sprawę z tego, że rywalizacya z ulubionym aktorem do niczego.

Rad byłby wmięszać się do jednej z rozmów, prowadzonych przy stole. Coś mu szeptało: tu nie miejsce dla ciebie, ale w tym tłumie muszą przecie być kobiety, dla których Gadziński nie jest przedmiotem marzeń i westchnień. Czuł gorączkową potrzebę wymazania z pamięci swojej pomyłki i nieznanego ataku. Chciał być już daleko od przykrego zawodu, strząsnąć go z siebie jak niewygodną suknię lub ciasny bucik. Jego miłość własna cierpiała na tem niesłychanie.

Panią Murawską tymczasem bawił koncepcami sąsiad z prawej strony. Słuchała go uważnie, odwrócona prawie plecami do Walerego. Miał przed oczyma jej lśniące, ciemno-kasztanowate włosy, ciężkie i z trudnością spięte w sypeł grecki złotym węzem o kilku pierścieniach. Nie wyglądały gładko, ale na podziw bujnie i obficie, a szyja pod niemi szalenie kusiła do pocałunków...

Odkąd dowiedział się, że nie zajmie w jej sercu komórki uprzywilejowanej, formalnie łaknął jej. Jak długą była jego równowaga od paru lat, tak gwałtownem dzisiaj pragnienie miłości. Na chwilę nawet strach go zdjął, jak gdyby przed niebezpieczeństwem. A nuż natura jego, którą znał dobrze, wypłata mu figla i zacznie dręczyć tęsknotą, odbierającą spokój i energię? Obca, złowroga moc wkradała się do wnętrza i kto wie, jak długo będzie je nurtować...

Wysiłkiem woli i podrażnionej ambicyi przestał myśleć o tem. Ale daleko dzielniej przyszedł mu z pomocą gwar, dochodzący z pokoju jadalnego. Wszczął się ruch, skończono biesiadę. Do salonu zaczęli napływać starsi goście. Pani Łozicka stała we drzwiach i odbierała podziękowania. Spostrzegł to Walery, zerwał się z krzesła, uścisnął rączkę Murawskiej i na pół pijany, ociężały, bez zwykłej sprężystości podszedł do siostry i szwagra. Potem dziękował i odbierał podziękowania za towarzystwo. Korzystał z zamięszania, ścisku i wesołej wrzawy, by tę ceremonię zredukować do minimum. Opanowywało go lenistwo nieprzezwyciężone i żałował, że nie siedzi przy swem biurku, zawalonem stosami ksiąg i broszur.

Runiczówna, jaśniejąca szczęściem, sama zbliżyła się i z lekką ironią skłoniwszy się, wyciągnęła rękę. Wściekłość w nim zgrzytnęła. Jeszcze i ten podlotek będzie mi urągał! O! niedoczekanie twoje...

A jednak trudno było gniewać się na tę smukłą, czerstwą sosenkę. Aromat młodości wiał od niej; ciepły, rozkoszny ton cery budził pragnienie dotyku, poprostu chciał być pieszczony miękką dłonią. Wargi miały silną, soczystą czerwień. Figura jeszcze nieco płaska, była jednak kształtnie wykrojona i dosyć krzepka i gdyby nie nos trochę okrągły i psujący profil twarzy, byłaby zupełnie ładną. W oczach malowała się rezolutność panny nowego stylu. Patrzyła zuchwale prawie jak jedna z tych, co wiodą rej na zebraniach koleżeńskich i mówią dużo, lecz z pogwałceniem składni. Ale i pewnej siły nie można było jej odmówić.

Walery doznawał wobec niej wrażenia, jak gdyby odprowadzał na kolej i żegnał przyszłą zuryszankę lub genewiankę. Myślą dopędzał

upadek ministeryum liberalnego, ale w istocie rozumieją torysi wszystkie błędy, jakie markiz Salisbury popełnił, błędy, które rządy ich — o ile nie zajdą nadzwyczajne wypadki — na długo uniemożebniły. Szczerem jednak żądaniem torysów jest rozpisanie nowych powszechnych wyborów, które byłyby im na rękę, pomimo, że nie wierzą w zdobycie większości dla siebie. Chodzi im tylko o to. by stronnictwo liberalne nie zrobiło żadnych postępów i nie zyskało nowych szeregów wśród ludności miejskiej.

W samej rzeczy: położenie rządu jest dziś trudnem. Słaba większość, którą posiada w izbie gmin nie ma dla lordów imponującego wyrazu opinii publicznej, zmuszającej „zachowawczość“ do opuszczenia zbyt podminowanych stanowisk. Dzisiejsza większość rządowa, licząca od 20 do 50 głosów jest w gruncie rzeczy mniejszością ze względu na 80 głosów irlandzkich — z zasady i z małymi wyjątkami zachowawczych. Jeśli irlandczycy dziś głosują z rządem liberalnym, to czynią to w nadziei uzyskania samorządu. Jasnem jest jednak, że izba lordów nie da sankcyi projektowi home rule'u póki większość liberalna w izbie gmin pozostanie tak słabą, jaką jest dzisiaj. Jeżeli zatem nowe wybory nie wytworzą wielkich zmian liczebnych, większość rządowa liberalna zostanie rozbitą z chwilą, gdy irlandczycy zobaczą, że liberalizm nie jest w stanie przeprowadzić dla nich samorządu. Zawiedzeni w obecnych nadziejach swoich posłowie zielonej wyspy złączą się z torysami, którzy wtedy dadzą im samorząd, jakkolwiek w innej formie. Oto, jakie są rachuby torysów. Dla ziszczenia tych rachub trzeba, by wybory miały miejsce rychło, by wyborcy nie mieli innej „platformy“, jak jedność państwa lub home rule. A wobec przesądnych niechęci do irlandczyków i do katolicyzmu opinja publiczna może się wypowiedzieć w duchu dla torysów pożądanym.

Hrabia Rosebery okazał też wielki takt polityczny, usuwając kwestyę home rule'u z porządku dziennego. Widząc niemożność przeprowadzenia samorządu dla Irlandyi, póki partya liberalna nie otrzyma gromkiego ze strony kraju uznania i poparcia, następca Gladstone'a postanowił wystąpić przedewszystkiem z szeregiem reform ekonomicznych i politycznych w duchu demokratycznym. Pod względem politycznym przyjął on sformułowania dokonane przez Gladstone'a: w kwestyjach zaś ekonomicznych wystąpił nietylko samodzielnie, ale nawet w sprzeczności z dawnemi hasłami liberalnemi, pozostawiającemi potrzeby klas pracujących „swobodnej grze ścierających się interesów“. Rosebery wystąpił tu jako „nowy radykał“, t. j. jako zwolennik państwowej interwencyi na korzyść klas uboższych i ekonomicznie słabszych. A więc udoskonalenia prawodawstwa fabrycznego, wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego, oraz tak zwany socyalizm municypalny (eksploatacya gazu, wody, dróg komunikacyjnych etc. przez zarządy gminne) — oto program skreślonych przez Rosebery'ego reform ekonomicznych, które przeprowadzić pragnie, zanim zażąda od kraju nowego wypowiedzenia się. Ale, zachodzi pytanie, czyż izba lordów da sankcyę takim demokratycznym uchwałom izby gmin. Izba lordów prawdopodobnie odrzuci wszystkie demokratyczne uchwały niższej izby, ale dopiero wtedy partya liberalna będzie w stanie prowadzić zwycięzką z lordami walkę; dopiero wtedy będzie mogła z zapałem domagać się zreformowania izby wyższej.

Tymczasem mają w Anglii miejsce wybory uzupełniające. Według — nie prawa, ale utartego zwyczaju — wszyscy członkowie izby, wstępujący do rządu, powinni poddać się ponownemu wyborowi do parlamentu. Wobec pewnych zmian, które Rosebery wprowadził w gabinecie, okazała się potrzeba nowych wyborów wzmożonych przytem pewną liczbą wakansów. Z dokonanych po dzień dzisiejszy pięciu wyborów rezultaty nie są pocieszające dla stronnictwa liberalnego. Przedewszystkiem żadna faktyczna zmiana nie zaszła (wybrano 4 liberalnych i 1 konserwat.) ale w trzech okręgach większość liberalna została znacznie zredukowana. Wprawdzie i większość wybranego torysa została zredukowana o 40 proc., ale trudno widzieć w tym objawie — znamię wielkiego entuzyazmu dla rządu liberalnego. Sądzimy wszakże że wybory uzupełniające nie są żadną miarodajną wytyczną dla przewidywania przyszłości. Przy braku ogólnej krajowej agitacyi, względy lokalne i kaprysy zaściankowe mają swobodne pole popisu.

Inną kwestyą, dla polskiego czytelnika bardziej ciekawą, jest taktyka stronnictwa irlandzkiego. Otóż taktyka irlandzkich narodowców jest dziś żadną: oddali ię oni zupełnie w ręce partyi liberalnej i dziś muszą już iść po utartej ścieżce. Frakcya zaś parnellistów, czyli nieprzejednanych, jest zbyt słabą (9 głosów na 80) i, dodajmy, bezsilną. W każdym razie Irlandczycy muszą dziś przeczekać albo zwycięztwo Rosebery'ego albo jego upadek. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku zmuszeni są wziąść, co im dadzą; znaczenie które Parnell wyrobił stronnictwu irlandzkiemu, zostało znacznie uszczuplone przez jego nieudolnych kierowników.

Musimy tu kilka słów powiedzieć o nieszczęśliwej analogii, którą przeprowadzają u nas między położeniem Irlandyi a kwestyą polską. Ktoż dzisiaj marzy o separatyźmie irlandzkim. Kwestya samodzielności „zielonej wyspy“ znika zupełnie z porządku dziennego i sprawa ostatecznie zostanie zakończoną z chwilą, gdy drobne mieszczaństwo uzyska administracyę miejscową; sprawa bowiem agrarna tylko retuszowania wymaga i nie może już być radykalnie reformowaną przez panujący ustrój własnościowy. Kwestya samodzielności polskiej natomiast pozostaje żywą i międzynarodową, a tem samem odmienną jest w istocie swojej od sprawy irladzkiej.

Na dziś zatrzymamy się przy tych luźnych uwagach. Powrócimy do Irlandyi w jednym z przyszłych listów, gdy naszkicujemy także hasła „decentralizacyi“, które weszły do programu obecnego ministeryum.

Wacław Nadolski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Jeszcze Bank ziemski.

Zmarszczył czoło „Dziennik Pozn.“ na nasz artykuł, w którym wytknęliśmy indolencyą obywatelstwa w sprawach instytucyi o wyższym zakroju społecznym, i wyzwał nas na rękę, wybierając jako broń szlachetną emulacyę w czynnej służbie krajowi. Przyjmując z przyjemnością taki pojedynek, zastrzegamy się, żeśmy przeszłości naszej dziejowej i przekazanej nam przez nią spuściźnie idealnej żadnem słowem nie ubliżyli, lecz przeciwnie wytknęliśmy tylko jej spadkobiercom i reprezentantom ich słabości, przez które powołaniu swemu fatalnie się przeniewierzają.

Mamy przekonanie, że wewnętrznej racyi temu „memento“ nikt w duszy nie śmie zaprzeczyć, chociażby osobiście czuł się niem dotknięty; sam „Dziennik Pozn.“ składa na to dowody, broniąc tylko ideałów, których nikt nie zaczepiał, a omijając rzeczywistość, która je zapoznaje lub zapomina. My wręcz oświadczyliśmy jasno i dobitnie: w imię odrodzenia społecznego spełniliście czyn godny waszej przeszłości zakładając Bank ziemski, okażcież więc żywotność waszą obecną i godność przywództwa w narodzie przez poparcie i rozwinięcie tej instytutucyi odpowiedniemi składkami na podwyższenie kapitału zakładowego; nie czyniąc tego, wystawiacie sobie smutne „testimonium paupertatis“

---

już tę chwilę, w której Runiczówna będzie pracować w laboratoryum chemicznem i zawracać studentom głowy. Miał pewność, że jest zdolną zarówno do pierwszego, jak do drugiego. Żałował, że za jego czasów nie było na uniwersytetach, a tem bardziej w Lipsku tak miłego towarzystwa.

Tymczasem jednak odpłacił jej uśmiechem ironicznym i przesadnie długim uściskiem dłoni.

— Cóż, przygotowuje się pani do tańca? zapytał.

— Ha, jeśli będą tańczyć, to dlaczegożbym i ja nie miała używać?... Chyba się przecież znajdzie taki amator, co mię do kadryla poprosi...

— Któżby śmiał wątpić... przypuszczam nawet, że pani tę sztukę posiada w dosyć wysokim stopniu... I zmierzył ją śmiało od stóp do głowy, jak gdyby dawał do poznania, że jest odpowiednio zbudowana.

Runiczówna oblała się lekkim rumieńcem.

— A pan już chyba — odcięła się — zasiądzie ze starą gwardyą do zielonego stolika?

— No przecież, że nie będę popisywał się wraz z innymi kołowacizną...

Tym razem była zadraśniętą.

— E, wie pan, te stare deklamacye na temat tańca już się trochę przejadły, ja nie sądzę bynajmniej, żeby parę taktów polki lub walca przynosiły komuś ujmę. Póki jesteśmy młodzi, dlaczegóżbyśmy udawać mieli ascetów. Taniec jeszcze nikogo o żadną stratę umysłową nie przyprawił.

— Rozumie się, a zwłaszcza tych, co nic do stracenia nie mają.

Zrobił minę słodką, jak gdyby pił do osoby o milę oddalonej.

Przechadzali się wolnym krokiem. Walery przewidując, że Runiczówna lada chwilę puści go „kantem,“ zawczasu już rozglądał się po salonie wzrokiem człowieka, któremu najzupełniej wszystko jedno, co się przy nim i dokoła niego dzieje. Mogła nawet odejść i byłby tego nie zauważył.

Nie odchodziła jednak. Nie chciała uznać swojej porażki i jako nowej broni chwyciła się rozmowy poważnej.

— Zresztą to rzecz gustu i w tej chwili co innego mnie interesuje. Nosiłam się właśnie z pytaniem, dlaczego o pańskiej „Podróży po niebie“, tak mało piszą. Tak długo ją zapowiadano, a teraz nikt słówka o niej nie bąknie?

Potrąciła czułą strunę z kociem przymilaniem się. Waleremu wszystka krew do serca zbiegła. W rzeczy samej, prasa codzienna i tygodniowa, wywzajemniając się za szyderskie jego wycieczki w artykułach wychowawczych, nie doniosła nawet o wyjściu książki. Prędko jednak zapanował nad sobą.

— A cóż pani chce, żeby o astronomii pisały modystki i kucharki? Trudno przecież, ażeby obok modeli nowych sukien, przepisów obiadowych i sposobów wywabiania plam rozwodzono się nad kometą Halleya. Miesięczniki zrobiły, co do nich należało. Pewnie pani czytuje — zwrócił się do niej bez cienia przekąsu — „Aurorę“ i „Olimp“, to pani o tem wie najlepiej?...

Czekał potwierdzenia.

Pokraśniała Runiczówna tym razem nie na żarty. Uznawała w duchu i swoją niezręczność i swoją winę. Panieński, doktrynerski szacunek dla nauki ozwał się w niej głosem donośnym i w tej chwili gotową była nawet przeprosić dawnego swego nauczyciela.

— Niestety, wyznać muszę — rzekła tonem zlekka przyciszonym — że bardzo rzadko udaje mi się napotkać gdzie zeszyt „Olimpu“, a niepodobna przecież prenumerować go własnemi siłami. W każdym razie — tu westchnęła lekko — od jakiego roku pewnie. nie przeglądałam go. Zresztą, mówią, że nie wszystko bym tam zrozumiała.

Walerego rozbroił ton pokory i szczerości. Zresztą z tem zakłopotaniem wyglądała jeszcze jeszcze ponętniej niż zwykle. Nuta miękka i prawie rzewna po dotychczasowej czupurnej przedziwnie zwiększała w niej urok kobiety. Jeśli było jej do twarzy z butą, to łagodność zdobiła ją znakomicie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i ulegacie fatalizmowi dziejowemu, który wam każe wyprzeć się własnego dziecka i własnemi rękami grób sobie kopać". Wy na to nam odpowiadacie: „to jest szczekanie psa na księżyc; przeszłość i niespożyte zasługi bronią szlachtę od wszelkich zarzutów, a co teraz ona jeszcze zdziała, to się pokaże". Owszem — o to pokazanie nam właśnie chodziło, i w tem rozumieniu rzeczy przyjmujemy wyzwanie.

A wypisawszy na naszym sztandarze prawdomówność, która niestety w naszym kraju źle bywa widzianą, nie wahamy się z otwartą przyłbicą wstąpić w szranki i odsłonić broń, którą walczyć wypadnie obu stronom w szlachetnej emulacyi.

„Ubożuchną jest nasza Polska" — powiada „Dziennik Pozn." i na dowód przytacza cyfry bogactw niemieckich. Zapewne. Ubogą jest w porównaniu z Niemcami, a jeszcze uboższą w porównaniu z Francyą lub Anglią. Jednakże nie o to oczywiście chodzi, abyśmy mierzyć się mieli z potęgą obcą, lecz tylko wypośrodkować i uwzględnić należy na trzeźwo siły nasze wewnątrz kraju we wzajemnym ich stosunku.

Wyobrażeniem tych sił może być (w przybliżeniu dość dokładnem) z jednej strony rozwój naszych spółek zarobkowych, z drugiej strony wzrost hipotecznego odłużenia wielkiej własności ziemskiej. Nie chcąc czytelników nużyć cyframi, zaznaczamy tylko dla charakterystyki, że przewyżka odłużeń ponad wymazania długów w księgach hipotecznych wzrosła w 4 latach 1886 — 1890 w stosunku 5 : 9, a w ostatnich 20 latach pomnożyła się 9 razy. Jest to straszny obraz ziemiaństwa, który niezwykłym kontrastem odbija od obrazu, jaki nam przedstawia drobny przemysł wiejski i miejski. Wiadomo, że w ostatnich 20 latach suma udziałów w spółkach zarobkowych wzrosła z 620 tysięcy na 2,7 milionów, depozyta z 2,6 na 10,8 milionów, fundusze rezerwowe z 74 tysięcy na 1,13 milionów. To są cyfry wymowne, które każdemu nieuprzedzonemu statyście zamysł na czoło wywołać muszą, cyfry, w których spoczywa wielka część naszej przyszłości, — cyfry na których już może oprzeć się poważna akcya finansowo-społeczna. Jeżeli bezwzględnie w porównaniu z bogactwem obcem lub nawet w porównaniu z resztkami bogactw ziemiańskich rezultaty tej pracy ludowej są mierne, to względnie z punktu widzenia rozwoju są one olbrzymie; bo są wyrazem życia, ruchu postępowego i siły, która zdobywa sobie miarodawcze stanowisko!

To nie mytologia, szanowny nasz oponencie z „Dziennika Pozn."!

Wskazując w poprzednim naszym artykule na te nowe potęgi społeczne, zaznaczyliśmy, że logika dziejowa zmusza Bank ziemski, pracować dla nich i przez nie, aby prawdziwie i mądrze służyć interesom całego narodu; byłoby więc naturalną rzeczą, aby Bank na nich także się oparł, a przynajmniej częściowo w nich czerpał podstawy i zasoby swej pracy. Dzieje to się poniekąd przez spółki ziemskie, które mają zadanie, skupiać drobne siły włościańskie i ich zasoby w celach osadniczych; lecz żałować wypada, że zarządy tych spółek niestety bardzo mało w tym kierunku okazują sprężystości; być może, że i sam Bank pod tym względem nie rozwija dostatecznej agitacyi, spoczywając na laurach sukcesów, które mu narzuciły same stosunki agrarne.

Różnica pomiędzy jednym a drugim obozem (sit venia verbo) polega na tem, że dla szlacheckiego ustroju własności ziemskiej Bank ziemski może być tylko deską ratunku, na której rozbitki przesilenia rolniczego dopłynąć mogą do portu reformy społecznej, podczas gdy dla żywiołów ludowych powinien on być dźwignią i regulatorem w niepowstrzymanym ich pochodzie ku odrodzeniu. Tutaj Bank ziemski ma interes, aby szukać oparcia w młodym obozie, tam stary obóz ma interes, aby znaleźć oparcie w Banku ziemskim.

Na takiem pojęciu rzeczy polega nasze zapatrywanie, że obywatelstwo ziemskie ma obowiązek, dać z własnej inicyatywy fundusze, które są potrzebne do dalszego rozwoju Banku ziemskiego, — chociażby ta ofiara była resztką sił i starych zasobów szlachty wielkopolskiej. Takiego jednakże niebezpieczeństwa, wyczerpania się do reszty, nie widzimy bynajmniej! Bo pod względem finansowym o cóż na razie chodzi? — O zebranie 800 tysięcy marek na nową emisyę. Otóż nie licząc nawet na większe składki magnatów naszych, ani na pojedyncze udziały licznych lecz niezamożnych obywateli, każdy obeznany z stosunkami WKs. Poznańskiego — tego biednego (!) Księstwa — znajdzie z łatwością 80 obywateli, którym podpisanie po 10 akcyi Banku ziemskiego nie zaważy na szali interesów, a tem mniej ujmy przyniesie. Czemu jednakże nie poczuwają się do tego obowiązku, i czemu z szeregów uciekają? Czy czekają komendy imiennej? — Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie w przeszłym naszym artykule była bardzo łagodną i bardzo oględną, gdyśmy szukali przyczyn tylko w bezimiennym fatalizmie dziejowym! Mamy przed sobą psychiczny objaw człowieka trzymającego w ręku parasol, którego piękność chwali, lecz go nie otwiera, gdy na jego głowę nawałnica spływa.

„Dziennik Pozn." utrzymuje, że ten parasol niebawem ujrzymy rozpięty. Byłoby to niezawodnie dla nas porażką w ofiarowanym nam pojedynku, bo musielibyśmy przyznać się do omyłki w naszych sądach społeczno-psychicznych i złożyć broń. Lecz porażka taka napełniłaby nas zadowoleniem i niczego goręcej nie pragniemy, jak powiedzieć sobie: „utinam sim falsus vates".

Tymczasem nie możemy obronić się przykremu uczuciu, że „Dziennik Pozn.", potrząsając dłonią, która „jeszcze nie zawiedzie broni", więcej bawi się w poezye, niż my w mytologię. Chrzęst zbroi i szczęk pałaszy jest tanią monetą w dziennikarstwie; a nie chcąc do jednego w tym względzie ruchu należeć, czekać będziemy w spokojnem milczeniu — stosownie do życzenia „Dziennika Pozn." — owej chwili walecznego czynu, który kłam zada i naszej mytologii i satyrze rzymskiego wieszcza, przepowiadającego: „parturiunt montes, nascitur ridiculus mus". *h. S.*

Traktat handlowy.

Kto mógłby przypuścić, że pod płaszczem wytwornej ogłady tyle jeszcze niskich instynktów się mieści. Rzuć kość godną walki, a glansowana rękawiczka w strzępy się rozpadnie.

Takiego podrażnienia brutalnych popędów byliśmy niedawno świadkami, — wieść o układach celnych z Rosyą zajęła w tym wypadku miejsce kości niezgody. Zagrożeni w swych interesach junkrowie niemieccy rzucili się zapalczywie na rząd i tron, jako na inicyatorów reformy. — Ani tradycya powagi monarszej, ani długoletnia tresura w posłuszeństwie dla władzy nie zdołała powściągnąć rozigranych namiętności. Dziś, kiedy traktat handlowy wszedł w życie, a burza rozigranych namiętności przycichać zaczyna, możemy spokojnie zanotować bezskuteczny protest i podnieść niepospolite, choć dla nas niezbyt korzystne, znaczenie zawartej umowy.

Niezaprzeczenie junkrowie przegrali sprawę; ich wielki wódz żelazny — pogłaskany w czas i zręcznie, mruczeniem niewyraźnem zakończył swą rolę, a kość dostała się w ręce przemysłowo-miejskie. Oczywiście radość tych kół nie zna granic: Królewiec i Gdańsk obchodziły świetniej podobno dzień zatwierdzenia traktatów, niż rocznicę Sedanu. Punkt ciężkości życia społecznego w Niemczech przeniósł się do środka zwycięzkiej grupy i rząd zdaje się coraz pewniej i silniej na niej opierać, biorąc już widocznie rozbrat z dotychczasową podwaliną państwa, dziś ekonomicznie zachwianymi baronami.

Taktyka ta streściła się podobno w omawianem swego czasu przez prasę, a niezaprzeczonem urzędowo wyrażeniu kanclerza: „Niech

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

Warszawa, 10 kwietnia.

Od skargi zaczynam ten pierwszy list do Was! Bo jakże nie ma wyrwać się bolesna, długo tłumiona skarga — gdy z myślą o dzielnicy używającej względnej swobody słowa, spada mi chwilowo z piersi przytłaczający ją ciężar, gdy na czas jakiś odzyskuję prawo głosu, prawo wylania tej skargi na papier?

U nas nie tylko skarżyć się, ale prawie, że pisać nie wolno. Bezmyślni, pozbawieni wszelkiego wykształcenia, często źle rozumiejący nasz język moskale-karyerowicze — oto co się nazywa cenzurą; a każdy z nich stara się popisać przed innymi, aby zasłużyć jaki krzyżyk lub odznaczenie: każdy myśli tylko o tem, aby jak najbezmyślniejszem wykreślaniem rozdrażnić autora i wywołać skargę do władzy wyższej, bo taka skarga jest najlepszą rekomendacyą. Czelność swoją posuwają do tego, że puszczają się w targi z redaktorem:

— Chcesz pan pisać o Matejce? Dobrze, ale wprzódy niech pan umieści artykuł o świeżo zmarłym kompozytorze rosyjskim...

Prostaczkowie idą na lep; a po wydrukowaniu artykułu o kompozytorze, z nekrologu Matejki zostają tylko strzępy.

I w tych warunkach żyje jednak nasze piśmiennictwo... Wielka to jego zasługa, wielki dowód żywotności dziecka narodowego. Ale czyż literatura rozwija się prawidłowo? Czy nie znać po niej tego ucisku?

Grzechem byłoby powiedzieć, że nie.

A jednak mamy pisarzy, do których podobnymi nie wiele narodów dziś może się poszczycić. Mamy Konopnicką, Orzeszkową, Sienkiewicza. Zdaje się, że powinniśmy umieć ich ocenić. Zdaje się, że gdy obcy krytycy składają im hołdy podziwienia, swoi powinni tem bardziej odczuć i ocenić ich zasługi, tem lepiej ich zrozumieć.

Wiele wody ubiegło i wiele się zmieniło od chwili, gdy Sienkiewicz pisał pod skromnem pseudominem Litwosa o Konopnickiej, jako „płynącej do sławy dopiero"; kiedy uchylał przed nią czoło, nazywając jej wiersz „Do kokiety" brylantową poezyą, na opisanie której jemu, mistrzowi słowa, słów zabrakło...

Jedni z tych, których wówczas zachwycała nie tylko forma, ale głównie idea poezyi Konopnickiej, dziś przez stołowe nogi i okultyzm drażnią nerwy stępione: drudzy, podobni do tych świeżo sfabrykowanych mieszczuchów, którzy obawiają się, aby ich broń Boże nie wzięto za chłopów, na wyścigi udają estetyków, przyczem okazują znawstwo dla określenia którego wolę nie używać porównań.

Cechą wybitną usposobienia umysłowego chwili bieżącej, wywierającą ogromny wpływ na literaturę piękną jest zanik poczucia wszystkiego co wzniosłe.

Czem jest wzniosłe? Jest to synteza piękna i dobra. Czynem wzniosłym jest ten, który odpowiada zarówno wymaganiom moralnym i estetycznym. Wzniosłe jest tym szczytem, po którego obie strony stacza się poezya drogą nieznacznych stopniowań, albo w wymanierowane cacko bezideowe, albo w tendencyjną moralizacyą... Ale najlepiej wytłumaczy, co jest wzniosłe, kilka wierszy, gdziekolwiekbądź wziętych z dzieł Konopnickiej.

Skostniałe dziecię szklannemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna ślni droga;
Chciało się skarzyć, lecz matki już nie ma,
Mówiło zatem do Boga:
— „Ojcze nasz"... Jakto, o synu królewski!
Ojca Twojego narody zwą Bogiem,
A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski,
Konasz bez dachu, za progiem?

I któżby uwierzył, że autorka tych wierszy i tylu, tylu innych równie pięknych i równie wzniosłych, że poetka grająca jak mistrzyni na strunach duszy ludzkiej i wydobywająca z nich niezrównanej harmonii dźwięki, doczekała się sądu takiego: „zdaje mi się, że dusza Konopnickiej musi posiadać swą klapę bezpieczeństwa w najzupełniejszym porządku: brak jej absolutnie poczucia wielkości w czemkolwiekbądź."

Co prawda, autor tych wierszy i obszernego

bankrutują! inni za tanie pieniądze nabędą zadłużone majątki...."

Oczywiście wraz z niemieckimi ponieśli i wielkopolscy ziemianie klęskę ekonomiczną; dobrze, iż przynajmniej spokojna i pełna rezerwy postawa, jaką z nielicznymi wyjątkami zajmowali w czasie zatargu, oszczędziła im moralnej porażki.

Dziś jest tylko zagadką, czy rosyjskie zboże zdoła zdobyć na nowo rynki niemieckie i czy wyprze pszenicę amerykańską? Traktat otwiera mu wolną drogę konkurencyi z cłem mk. 3,50 za 100 kg (pszenica i żyto). Jest więc na równych prawach ze zbożem austro-węgierskim i romuńskiem. Wiadomo jednak, że w roku 1893 całkowity dowóz austryackiej pszenicy na rynki niemieckie nie przenosił 3,4 proc. podczas gdy Ameryka pokrywała resztę niedoboru w wysokości 27 proc. ogólnej konsumcyi. Może wrócą dawne dobre dla Rosyi czasy, w których dowóz jej pszenicy dochodził 87 proc. całości (roku 1884—89). W każdym razie o tem, które z państw dopuszczonych ze zbożem na rynki niemieckie zwycięży, rostrzygnie nie jakakolwiek teorja ekonomiczna, lecz wprost stopień zręczności i przedsiębiorczości danych kupców obok mniej lub więcej stałego kursu rubla i ceny srebra.

Bądź co bądź niekorzystny dla rolnictwa rezultat traktatów silnie da się we znaki polskim prowincyom pod pruskim zaborem. Reszta państwa niemieckiego znajduje odszkodowanie w korzyściach, jakie umowa daje przemysłowcom. Wywóz żelaza i węgla do Rosyi, który z 214 milionów marek (r. 1881) spadł w roku 1892 do 130 milionów mk., ma wszelką możność odzyskania straconych rynków. Zwłaszcza węgiel, od którego cło zniżono do 49 proc. może rokować świetne nadzieje. Żelazo i wyroby z takowego choć mniej uprzejmie traktowane w umowie (zniżka wynosi około 0,16 proc. dawnego cła) mogą również pewne lepsze rokować nadzieje.

Oczywiście, że i polski przemysł, o ile zdoła zwalczyć konkurencyę niemieckich kolegów, może się spodziewać pewnych zysków z otwarcia granicy. Zyski te jednak będą ze stanowiska ogólnego nader problematycznej natury.

Węgla wywozić nie możemy dla tradycyjnych 99-ciu przyczyn, co zaś do przemysłu naszego żelaznego, to wątpimy, by za jego pośrednictwem weszły do kraju te pieniądze, które mu ubędą przez zmniejszenie dochodów z rolnictwa i aby on zdołał zająć ręce, które wskutek upadku gospodarstwa bez pracy zostaną...

Tak więc pomimo najlepszych chęci musimy ze stanowiska polskiego zadowolnić się pokojowem znaczeniem zawartych traktatów i od nich spodziewać się dla siebie korzyści. — Może w tym wypadku nadzieje nas nie zawiodą, choć mieliśmy czas przywyknąć już, że, czy nasi poskromiciele wrogo są dla siebie usposobieni, czy też ręce sobie podają, nam dostają się tylko cięgi w udziale *J. R.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z melodyi jesiennych.

Zaklęty kraj.

Jak młode dziewczę tuli łzy tajemne
U stóp ołtarzy w obłoczne welony,
Nad czarną ziemią pływają mgły ciemne,
Skargi żałosnej nucąc jęk tłumiony, —
I śpi jak cmentarz bolesny a święty
Ten kraj zaklęty.

W uściskach śmierci żółty liść opada
I smutną nutą konania szeleści,
A dąb odarty, jak Niobe blada,
Z ostatnim synem czuli się i pieści, —
I jako Chrystus na krzyżu rozpięty
Drży kraj zaklęty.

A ludzie suną, jak mogilne duchy
Tym załzawionym gościńcem żałoby
I łkają cicho, że liść ginie suchy,
I że tak duma niby świeże groby,
Gdzie łzy rozsute, jak srebrne djamenty,
Ten kraj zaklęty.

Tu gasną gwiazdy i ludzie tak smutni,
Myśl bez płomieni, lazur bez błękitu,
Słońce bez blasku a śpiewak bez lutni,
I sen bez końca i noce bez świtu,
A kołem w obłok wilgotny rozdęty
Śpi kraj zaklęty.

Gdzie mgły w nizinach pełzają jak krety
I lud bez jutra w łez morzu się pławi,
Drzewa się skarzą, szemrają szkielety,
A w słońc krainę płynie klucz żórawi.
I westchnął za nim tęsknotą ujęty
Ten kraj zaklęty.

Jeszcze jęk jeden! I tłumy oparły
Głowy zmęczone o zimne mogiły
Kędy od wieków drzemie lud umarły;
A nad ofiarą trwogi i bezsiły
Płacze w rubiny krwi serdecznej ścięty
Nasz kraj zaklęty.

Władysław Rabski.

Nietzsche i moralność.

(Dokończenie.)

Jak gdyby hołdując sokratesowskiej zasadzie, poznaj samego siebie, Zarathustra obiecuje sobie olbrzymie rezultaty z wydobycia najsilniejszych popędów ukrytych w głębi ludzkiej istoty. Jeżeli głosi egoizm to tylko dla tego, że uważa go za lepsze przygotowanie do przyszłego czynu od poświęcania się dla drugich. Jako przeciwdziałanie obezwładniającemu wpływowi środowiska, nie jako stwarzanie wygodnej i wyjątkowej dla szczęścia swego atmosfery zaleca Nitzsche samotność, której poświęcony jest jeden z najpiękniejszych rozdziałów w Zarathustrze (Die Heimkehr). Samotnik ustrzedz się chce płytkości otaczającego świata, dla tego wchodzi na najwyższe wierzchołki, chciwie wdychając czyste powietrze Tu czuje się samotny, ale nie tak opuszczony, jak tam, „gdzie wszystko mówi, nikt już nie potrafi zrozumieć." Wszystko wpada w wodę, nic nie zapadnie w głębiny... dla tego trzeba żyć na wysokich górach (267 i 269). Dekadenci tak wysoko cenią swoją subtelną, wykwintną, ubezwładniającą kulturę, a przecież zrośli się już z trwożnem przekonaniem, że barbarzyńcy ją kiedyś zaleją, i nie mają siły i ochoty się bronić.

Nietzsche, najwyżej ceniąc sztukę i myśl filozoficzną, wszystkiemi siłami duszy przywołuje przecież rozbudzenie się silnych, barbarzyńskich instynktów, w zniewieściałej dziś cywilizacyi, które by ją ocalić mogły.

Wreszcie i dekadenci sami usuwają się od ubóstwiania siły, której na kształtowanie życia zewnętrznego by nie starczyło, Nietsche uwielbia jego nadmiar, całą swą teoryą stara się tak ukształcić, aby ona służyła rozwijającemu się życiu.

Nietzsche przeto dekadentem nie jest, a raczej jest protestem przeciwko dekadentyzmowi, jeżeli utożsamimy go z ostatniem zubożeniem sił życiowych rasy, tak samo, jak występuje przeciwko dotychczasowej moralności chrześciańskiej, która mu się zdaje tamować rozwój życia i sił duchowych i fizycznych — zwyrodnienie natury. Wspólnym Nitzschemu i dekadentom będzie za to owo podścielisko teoretyczne, z którego czerpią argumenta naukowe oraz ustrój społeczny, który w nich niezadowolenie wzbudza i protest.

Jeżeli jednak dekadentów nazwiemy protestem biernym przeciwko dzisiejszej moralności i obecnemu ustrojowi społecznemu, to naukę Nietzschego nazwać musimy usiłowaniem czynnego protestu.

Pierwsi dochodzą do wniosku, że wśród społeczeństw dzisiejszych niema dla nich miejsca

---

studyum o Konopnickiej wykazał na 50 stronnicach tyle niepoczytelności literackiej i estetycznej, że nie powinnibyśmy się wcale z nim liczyć *). Jednakże nędzne to wypracowanie zostało wydrukowane w jednym z poważnych i cenionych miesięczników, a jeśli nie każdy odważy się pomyśleć lub wypowiedzieć niestworzone brednie, któremi wypełnione są wymienione wyżej 50 stronnic, to jednak nie mało jest takich, którzy cicho lub głośno powtórzyć gotowi za ich autorem, że takie utwory, jak „Wolny najmita", „Przed sądem", „Bez dachu", „Z szopką" itd. pełne są przesady lub, zmanierowanej konwencyonalności uczuć", a na szczycie jej twórczości umieszczą ostatnie obrazki włoskie. To tak brzmi, jakby ktoś „Elegie rzymskie" Göthego postawił wyżej od „Fausta", lub „Zofiówkę" wyżej od „Pana Tadeusza".

Nie dziwimy się, że ze wszystkich dzieł wielkiej poetki najwięcej przypadły do gustu naszemu krytykowi najmniej wybitne jej utwory — nowelki i opowiadania o różnych „głupich Frankach". Znalazł się tu oczywiście w duchowo pokrewnem sobie towarzystwie.

Ponieważ już potrąciliśmy o „Pana Tadeusza" to wielkie dzieło poezyi naszej, nie od rzeczy będzie może przypomnieć —i to będzie nam miłem odszkodowaniem za konieczność potępienia takich sposobów zdobywania sobie Herostratesowskich wawrzynów, jak przed chwilą wspomniany — że doczekało się ono sumiennego i umiejętnego rozbioru w książce p. Walerego Gostomskiego (Arcydzieło poezyi polskiej — Pan Tadeusz Mickiewicza").

A tez wracam do naszych wielkich pisarek, aby zaznaczyć, jakie przyjęcie zgotowała krytyka i czytająca publiczność (męzka!) ostatniej powieści Elizy Orzeszkowej („Dwa bieguny"). Dziwna rzecz, ta cudowna postać bohaterki, w której wszystko tchnie prostotą i wielkością, która każdy swój krok mierzy skalą publicznego dobra, a w każdym swoim przywileju widzi depozyt przeznaczony na cele ogólne, nie cieszy się bezwzględną sympatyą wśród męzkich czytelników, nie mówiąc już o licznych „ale", które chorująca na filigranowy estetyzm i pozbawiona poczucia wzniosłego i prawdziwie męzkiego piękna krytyka postawiła przeciwko tej perle wśród powieściowych pereł Orzeszkowej.

Dla czego?

Czy nie dla tego, że obok postaci, której przekonania ciągle płyną z głębi serca, której życie poświęcone jest odczutej całą istotą idei, stoi drugi w męzkim stroju — jej „biegun" przeciwny? Czyż nie dla tego, że ten młynek od wygłaszania dla popisu i flirtu modnych idei, ustrojony w ostatnie nowości sztuki i literatury, napełniający salony swoim ptasim świegotem, zbyt przypomina wielu młodzieńcom ich własny obraz?

Ileż to głosów oburzenia i niechęci dla tej bohaterki, która nie potrafiła ocenić zalet tego salonowca i spalić swoich świętych ideałów na ołtarzu Erosa!

Mniejsza o to! Niech pseudo-estetyczna krytyka robi grymasy niechęci: niech wierzgają młode... koniki salonowe, my z prawdziwą radością zaznaczamy, że obie nasze wielkie poetki wznoszą się coraz wyżej w swoich produkcyach artystycznych. W imieniu tych prostych i szczerych serc, które z prawdziwem przejęciem się czytają „Dwa bieguny", w imieniu całego młodszego pokolenia wdzięczność składamy autorce za to, że nie hołdując usiłowaniom filigranowej krytyki, wznosi się w utworach swoich na wyżyny ideału, że zamiast „miłego", stwarza wzniosłe. A tej drugiej poetce, tej, co pisała niegdyś:

O Panie! przebacz mi! Tyś Bóg, Tyś wielki,
Z błysków masz szatę, a z gromów koronę,

---

*) Za dowód wystarczy chyba zaznaczenie, że krytyk ów następujące niezrównanej piękności wiersze Konopnickiej:

W zachodu złotą płyniemy dal
Po szmaragdowej fali,
Na krańcu nieba ogniem zórz
Wielka się łuna pali.

Ogromny słońca płynie stos
Na samej nieb krawędzi,
A taka cisza, że bez tchu
Łódź nasza w ogień pędzi...

przyrównywa do tej facecyi:

W nocy, w samo południe, o świcie
Jadę konno piechotą w karecie.

przyznając jej przytem dowcip.

i usuwają się od wspólnego życia, dbając już tylko o własne ja, drugi poddawszy krytyce moralność i wiedzę współczesnę w doktrynie swej stara się wykazać odrębne od istniejących cele dla ludzkości, stworzyć nowe wartości moralne, wykazać całą bezduszność dzisiejszej nauki i uczonych, a pokolenie przyszłe zwrócić ku krynicy życia.

W rozprawce, która posłużyła za punkt wyjścia do naszych uwag, cała teorya Nietzschego uznaną jest za nienaukową, niekonsekwentną, szkodliwą i potępioną w czambuł, z dzieł całego życia niemieckiego myśliciela nie ocalało nic zgoła. Sąd taki wyniknął z pewnej właściwości krytyki dzisiejszej, o której mówi Nietzsche w jednem ze swych „Rozmyślań nie na czasie.“ Rozporządzając dziełami, jakie daje nam cywilizacya epok minionych i kierunków współczesnych przybieramy w obec nich postawę sędziów, badamy ich pochodzenie, oryginalność, całokształt, ale najmniej zastanawiamy się, co dzieła te dały nam pozytywnego, czy oddziałały one bezpośrednio lub pośrednio na nasze myślenie. Gdybyśmy jednak stawali częściej w charakterze uczniów, niż surowych sędziów niewątpliwie lepiej wyszlibyśmy na tem. Otóż jako sędziowie możemy istotnie wykryć u Nietzschego niekonsekwencye i błędy, ale jako czytelnicy i słuchacze, chcąc odnieść korzyść pozytywną lub pobudkę do myślenia uznać musimy, że należy on do najsilniejszych indywidualności pisarskich, a odrębnym jest od wszystkich współczesnych moralistów.

Najwyżej stanął Nietzsche, jako krytyk społeczeństwa obecnego, jego dążeń, ideałów i instytucyi. Charakterystycznym jest tu fakt, że za cel pocisków wybiera on właśnie to, czem się cała kultura współczesna pyszni; kolejno więc przechodzą przez rózgi istniejące państwo i powszechne głosowanie, demokratyzacya wiedzy, która jest przyczyną jej płytkości, historyczne wychowanie i wykształcenie nasze, które staje się zlepkiem ozdób dla pokrycia własnej nicości, stanowisko filozofii i nauki dzisiejszej, brak silnej wiary i jednolitych dążeń, zbytnia ruchliwość i zmienność nowoczesnego człowieka, która osłabiająco wpływa na umysłowe i moralne właściwości pokolenia. Wszystko to razem składa się na dzisiejszego filistra wykształcenio (Bildungsphilister) zadowolonego z siebie, płytkiego, zadawalającego sumienie drobną działalnością społeczną i zdawkową moralnością, krytykującego wszystko hałaśliwie, z osłabioną siłą woli, mało wybitną indywidualnością i wykształceniem, na które złożyły się strzępy wiedzy różnych działów i urywki mistrzów z różnych czasów. Za typ takiego filistra wykształcenia, którego krytykuje bezlitośnie, uważa Dawida Straussa, głośnego w Niemczech w czasie, kiedy pojawiła się o nim broszura Nietzschego*) Trudno typowi temu odmówić trafności, jest to wcielenie ideału burżuazyi: Ale Nietzsche uogólnia go, zdaje mu się, że inni ludzie istnieć dziś nie mogą, obwinia on demokracyą i wzmagający się ruch robotniczy, że obniżają poziom człowieka, mając ciągle na myśli swojego filistra wykształcenia. Skarży się w Zarathustrze, na wstręt do człowieka (Ekel am Menschen), gdyż gatunek człowieka narażony jest dziś na zwyrodnienie. Dla ocalenia gatunku człowieka, temu uspołecznionemu typowi przeciwstawia duchów wolnych, samotników, którzy pracować będą nad przemianą wszystkich wartości.

Trudno zaprzeczyć, że człowieka wtedy tylko zupełnie swobodnym nazwać można, gdy stoi on samotnie, nie przedstawia sobą stronnictwa, grupy, kierunku, albo też za niemi nie idzie. Wszelka solidarność nakłada na jednostkę pęta moralne, a często i umysłowe, nie wolno mu przyznać błędu, zmienić postępowania, nie wolno dojść do poznania prawdy, a częściej umysł zapatrzony w określonym kierunku, patrzący przez pryzmat swoich wierzeń i uprzedzeń, prawdy tej poznać nie może. To też wyższością luzaków (że ich tak nazwiemy) nad ludźmi poczuwającymi się do solidarności ze społeczeństwem lub grupą, będzie ów niezmącony niczem krytycyzm, owa swoboda ducha i oka, której nic nie przeszkodzi dojrzeć prawdy. Ale ludzie tacy narażeni są na niebezpieczeństwo większe. Najczęściej nie działają oni, pozbawiają się więc oddziaływania środowiska na siebie, krytykując wszystko naokoło wyrastają we własnych oczach na potęgi, które tem dłużej na piedestale tym utrzymać się mogą, że nie dają sobie sposobności wypróbowania sił własnych w działaniu. Pozbawiają się oni nietylko współczucia grupy, z którą się zsolidaryzowali, ale co gorsza przestają je sami odczuwać; moglibyśmy zastosować do nich piękne określenie Guyau: „Kiedy zbyt długo przebywamy na wysokich szczytach ogarnia nas pewien rodzaj gorączki, nieopisanego znużenia; chciałoby się już nie schodzić, odpocząć: oczy się zamykają; lecz jeśli ulegniemy pokusie snu, już się nie zbudzimy: chłód przenikający wyżyny, zmrozi nas do szpiku kości; niedołężna i bolesna ekstaza, której napad uczuwaliśmy, była początkiem śmierci“*). Tylko bardzo silne indywidualności oprzeć się mogą rozkładającemu wpływowi osamotnienia, a i te nawet znalazłszy się na wyżynie, na której nie było już dla nich punktu porównania, ani przedmiotu psychologicznego współczucia (współczujemy bowiem przeważnie z temi, których uważamy za równych sobie)“ puszczały wodze instynktom niepohamowanym, przestawały być dobroczyńcami ludzkości, a nawet działały przeciwko własnemu interesowi. Działanie bowiem człowieka na otoczenie tak ściśle związanem jest z oddziaływaniem tego otoczenia na niego, jak dwie szale jednej wagi. Kto zaś zupełnie od wspólności z otoczeniem tem się usuwa, ten nawet w dziedzinie myśli pozbawia się miernika i równowagi, w zakresie czynu zaś osłabia własną energią, która nie jest jakąś wielkością stałą, ale przeciwnie rośnie i wzmaga się wraz z zadaniami, które jej postawionemi zostaną.

Ideał człowieka, jaki stawia Nietzsche krytykowany jest zwykle, ze stanowiska grupy, którą takie jednostki luźne rozkładają i demoralizują. Tymczasem grupa zyskać raczej może, niż stracić, jeżeli stoją po za nią t. zw. dzicy, jednostki luźne, których swobody działania nic nie krępuje, a wzroku żadne uprzedzenia, talizmany, wierzenia nie mącą, naturalnie pod warunkiem, że te duchy wolne będą zarazem silnemi. Znacznie większem jest niebezpieczeństwo jednostki bez celu i podpory.

Nietzsche stawia wprawdzie wybranym, których uwzględnia cel piękny i wielki, choć odległy. Pytanie przecież, czy jest to istotnie cel ludziom dostępny? Świadomość nasza wystarcza wprawdzie na kształtowanie i doskonalenie stosunków i jednostek ludzkich na tem stadyum rozwoju, na którem stoją dziś, któż jednak wie, co będzie potrzebnem rasie wyższej i czy ona wogóle pojawi się kiedykolwiek. Człowiek dzisiejszy zaś żyje w społeczeństwie, kształtuje je i sam wpływ jego odczuwa. Usunąć mu się wolno, gdy istniejące stosunki go nie zadawalniają, gdy nie chce działać, ale myśleć i badać, ale tylko bardzo silne jednostki nie wyrodnieją na takim wyjątkowem stanowisku, lecz dają skończony i doskonały obraz silnej i szeroko rozwiniętej indywidualności. Moralność Nietźschego jest przeto moralnością wyjątków, w tem leży jej niebezpieczeństwo, nie zaś w tem, że istniejących wartości nie uznaje. Za to ostatnie możemy mu być raczej wdzięczni. Rzucił on zwątpienie w takie dziedziny i sanktuarya, których nikt dotknąć nie śmiał. Każe człowiekowi myśleć przedewszystkiem o spotęgowaniu własnej osobowości, o dążeniu do jednolitego rozwoju charakteru i umysłu, każe mu unikać czułostkowości, a być bezwzględnym i śmiałym, każe mu kochać życie i starać się o to, co owo życie uczynić może bogatszem i więcej intenzywnem, co je rozwija i popiera. Dopiero człowiek tak uzbrojony zaliczyć się powinien do tych, co, jak mówi Nietzsche dążą „do cnoty darzącej świat.“

„Pragnieniem ich jest stać się ofiarą i darem: dla tego nagromadzać chcą wszystkie bogactwa w swej duszy.

„Dusza ich nienasyconą jest w pragnieniu skarbów i klejnotów, bo chęć rozdawania jest bezmierną. Wszystko, co ich otacza wchłonąć chce w siebie i zużytkować, by zmienić to później na dary swej miłości.

„Zaiste, taka hojna miłość rabować musi wszelkie wartości, ale zbawiennem i świętem nazwę to samolubstwo.“ (Zarathustra s. 106).

Tacy ludzie, należący dzisiaj do wyjątków, utworzą może kiedyś cały zastęp: wierzy w to nietylko Nietzsche ale i ci, których rozszerzanie dzisiejszej kultury i dobrobytu na masy nie zadawalnia, ale którzy ufają, iż kiedyś według słów Fichtego „zakwitnie pokolenie, które zawsze pozwolić sobie będzie mogło to, czego chce i pragnie, bo pragnąć będzie tylko dobrego.“

Dr. Z. Daszyńska.

*) Unzeitgemasse Betrachtungen, Dawid Strauss als Bekenner und Schriftsteller.

*) Cyt. wedł. A. G. Fouillee — Moralność, sztuka religia, S. 131.

A stopy Twoje na słońcu są wsparte!...
Łzy ludzkie, cóż są? — ach rosy kropelki —
A przecież wszystkie masz je policzone...
Co?... policzone? — co? — i nie otarte?

Tej, która mówiła:

W prawo i w lewo dwa odrębne światy:
Lecz droga moja ni w lewo, ni w prawo,
Ja idę prosto, do biednej tej chaty,
Co nędzą swoją odbija jaskrawo
Od głośnych haseł rozdwojeń i kłótni.

Tej, która przyrzekała:

Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,
Kędy przed wzrokiem, wpatrzonym w wszechświaty,
Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie,
Jak tęcz mdlejących szkarłaty!
Nigdy nie spocznę w błękitnej tej ciszy,
Gdzie duch upojon oddechem wieczności,
Zaledwo czuje i zaledwo słyszy
Namiętne skargi ludzkości.

. . . .

Tej powiemy — obyś wytrwała! A za największą jej zasługę wobec naszego społeczeństwa poczytywać będziemy, że poszła „prosto do biednej chaty“.

Kiedy mówię o tych dodatnich zasiewach naszego ducha, to muszę wspomnieć jeszcze o jednej książce skromniejszej autorki i skromniejsze spełniającej zadanie. Mam na myśli „Atlantę“ p. Urbanowskiej, autorki „Gucia zaczarowanego“. Jest to książka dla starszych dzieci nawpół fantastyczna, nawpół dydaktyczna. Tok powieści przerywa się szeregiem wiadomości z historyi naturalnej, przeważnie roślin. Rzecz to zapewne pożyteczna i potrzebna, ale my nie tyle do tej rozmyślnie dydaktycznej strony przywięzujemy znaczenie, ile do owej pedagogicznej wypływającej z samego opowiadania pełnego tej prostej i rzewnej poezyi poczciwych i szczerze czujących serc, pełnego czci dla idealnych dóbr i miłości swojej ziemi.

Siejcie, siejcie poczciwe ziarno, wy siewcy ducha, a my czytelnicy bądźmy podobni do życiodajnego gruntu: przyjmujmy je i troskliwie pielęgnujmy, aby nie wątła, lecz zdrowa i silna z niego wyrosła roślina.

Ja tymczasem patrzę na to ot błękitne niebo, pod którem niedługo już zadzwoni pieśń skowronka i myślę: rychło li dla nas zabrzmi śpiew przebudzenia? Rychło li zawita odradzająca myśl pod strzechy nasze? Czy ją przyniosą w cichym szczebiocie jaskółki, lecące z za morza, czy w burzliwym powiewie wichru przeleci nad naszemi głowami i zakołysze wszystkie dzwony w naszych wiejskich kościółkach i uderzy we wszystkie serca polskie?

Wytężam oko — i dojrzeć nie mogę
Przez cieniów morze,
Jaką dla świtu wyznaczasz Ty drogę
Światłości Boże!
Czy mu przyjść każesz, jak idą pioruny
W błyskawic szacie,
W pośród przerażeń i klęsk krwawych łuny,
W burz majestacie?
Czy zejdzie cicho w te ciemne przestworza
Nad wieki śpiące,
Śląc wszystkim ludom od morza do morza
Złociste gońce!

Dzwon.

Z ruchu muzyczno-teatralnego Warszawy.

(Otello. — Konarska. — Reisenauer. — Grünfeld. — Kreisler. — Sanderson. — Koncert kompozytorski Noskowskiego — Koncert historyczny. — Projekt budowy gmachu Towarzystwa Muzycznego.)

Punktem kulminacyjnym bieżącego sezonu operowego było wystawienie reklamowanego u

nas oddawna Otella Verdiego. Zdania krytyków podzieliły się na dwa obozy: jedni chwalili bardzo, inni ganili, ubolewając nad sędziwym wiekiem kompozytora, niepozwalającym mu czerpać ze źródeł dawnego natchnienia.

I rzeczywiście, Verdi dziś nie umie już marzyć, jak niegdyś. Liryczne ustępy stanowią najsłabszą stronę przedostatniej jego opery. Słodka Desdemona nie może zdobyć się w pierwszych trzech aktach ani na jedną nutę łagodnej pieszczoty; duet jej z Otellem po burzy, na tarasie nadmorskim, to raczej okrzyk zwycięzkiej miłości bohaterki dla bohatera, aniżeli wyznanie tkliwej szekspirowskiej gołębicy.

Nie o ciche uczucia Desdemony chodziło jednak głównie Verdiemu: wątkiem jego dzieła jest uplastycznienie w muzyce szału zazdrości i pod tym względem mistrz tonów osięgnął cel swój całkowicie. Począwszy od aktu drugiego, każde pojawienie się na scenie Otella, każda jego arja, która poprzedza, lub której towarzyszy niekiedy grobowy akompaniament kontrabasów i wiolonczeli, zwiastuje ponurą tragedję, jaka toczy się w sercu murzyna. To nie uniesienie, nie zachwyt, nie namiętne porywy miłości, to gorycz jej cierpienia, piołunowy jad zwątpień, przechodzących stopniowo w orkan rozpaczy. Słyszymy co chwila to tłumione łzy olbrzyma, któremu ból rozsadza piersi, to pełną grozy rozterkę uczuć, popychających go do zbrodni. Pierwsze dźwięki orkiestry, nie uprzedzającej, jak zwykle, uwertura podniesienia kurtyny, lecz akcentującej odrazu siłą potężnie sharmonizowanych frazesów burzę morską, która szaleje na scenie, — pierwsze te dźwięki już zwiastują tragizm opery, w jakim utrzymaną została aż do końca.

Gdyby Verdi w duecie miłosnym Desdemony i Otella w akcie pierwszym był wzniósł się na wyżyny prawdziwego liryzmu, gdyby większą grozą, potęgą i siłą był natchnął finał aktu trzeciego, zawierający wprawdzie niezmierzone bogactwo modulacyi i pomysłów, lecz zbyt rozwlekle i nieodpowiednio do wymagań akcyi scenicznej przeprowadzony, byłby niewątpliwie stworzył arcydzieło, równe Aidzie. Niektóre ustępy, jak burza, chóry przy ognisku, oraz Brindisi w akcie pierwszym, serenada z akompaniamentem mandolin w drugim, są to perły muzyczne, na które nie zdobył się żaden z młodszych kompozytorów.

Wystawienie Otella u nas było ze wszech miar dodatnie i staranne. Wprawdzie śpiewacy włoscy, olbrzymią falangą zalewający scenę naszą, nie zawsze odpowiadają zadaniu; reklamowani szumnie, przywożą częstokroć zdarte już głosy, zmanierowaną akcyę i zupełny brak szkoły, dzieło Verdiego jednak obsadzone zostało na szczęście lepszemi cokolwiek siłami.

Na Otellu zamykają się operowe nowości, które zapowiadano licznie w jesieni, z któremi zwlekano przez zimę, aż ciepło i słońce wiosenne rozproszyło do reszty nawet projekty. Pomimo to jednak nie możemy narzekać na brak ruchu muzycznego; przeciwnie, był on ożywiony w tym sezonie, jak nigdy. Jednym z jasnych poranków, jakie zabłysły dla melomanów naszych, było ukazanie się młodej, utalentowanej, a nieznanej u nas dotąd artystki p. Konarskiej w roli Halki.

Przywykliśmy tak dalece do uwielbiania jedynie talentów, opatrzonych etykietą sławy zagranicznej, że artyzm, który wzrósł wśród nas nagle, w możliwie skończonej formie, wprawia nas w podziw niemały. Pani Konarska nie rozwijała się przed nami stopniowo, jak większość artystek, wyhodowanych na swojskim gruncie; jej debiut był doraźnym tryumfem wytrawnej śpiewaczki nad publicznością i prasą, w którą tradycya tysiąca niefortunnych prób młodzieńczego niewyrobienia wpoiła pewne uprzedzenie względem początkujących. — Głos p. K. niewielki, o silnem metalicznem brzmieniu tonów średnich i piersiowych, mezzo-sopran, umiejętnie doprowadzony do skali sopranu, nie wytrzymałby karkołomnej, niezmiernie wysokiej partycyi, gdyby nie świetna szkoła, która chroni p. K. od wszelkich nadużyć, pozwalając jej spokojnie i bez wysiłku, a nadewszystko bez sztucznych efektów władać materyałem swoim.

„Od czasu Rivoli nie słyszałem podobnej Halki.“ — Zdanie to, wypowiedziane przez jednego z wytrawnych znawców muzycznych, utorowało p. K. drogę pewnego powodzenia w tej roli. Talent to subtelny, gra i śpiew szlachetne, skończone. Tłumom p. K. nie zaimponuje prawdopodobnie nigdy, za to wybrani dziś już składają jej hołd należny.

Z instytucyi, największe ponoszących trudy umuzykalnienia miasta naszego, bezwarunkowo przedewszystkiem wymienić należy miejscowe Towarzystwo Muzyczne. Sprowadziło ono w tym roku cały szereg zagranicznych mistrzów, jak Grünfelda, Reisenauera, Gregorowicza, Kreislera, Meuter itd.

Reisenauer przekonał nas, jak potężny wpływ na tłumy może mieć sugestya. Przed kilku laty, kiedy pisma nasze zrobiły artystę drugim Lisztem, słuchacze cisnęli się na koncerty „niezrównanego mistrza“, jak na pielgrzymkę do ziemi świętej, bijąc brawo, bisując każdy pasaż „genialnego wirtuoza“, który, jak gdyby drwiąc z publiki lub maniąc ją na równi z krytykami, rzucał jej okruchy talentu swego, drobne bawidełka fortepianowe żadnej lub lichej wartości, które oszołomieni słuchacze brali za perły twórczej fantazyi i wykonania. — Minęło odtąd czasu wiele; artysta przerzucany przez impresarya z krańca na kraniec świata, nie miał czasu wykształcić ani rozwinąć swego talentu; pisma nasze, którym nie wypada cofać się z raz obranego stanowiska, wciąż pełne uniesień dla mistrza, obniżają skale ich corocznie o ton jeden: zamiast „genialnego, niezrównanego króla fortepianów“ p. R. jest już dzisiaj tylko „znakomitym wirtuozem“. Tłum, odczuwając coraz mniejszy napór sugestyi, przyjmuje artystę coraz chłodniej: zeszłego roku jeszcze przepełniał salę koncertową, w tym roku zebrał się do posłuchania „wielkiego ucznia Liszta“ licznie, za rok zbierze się dosyć licznie, za dwa lata może zajmie zaledwie połowę krzeseł, za trzy, cztery — ku zgrozie i oburzeniu „weteranów sztuki“ sala będzie świeciła pustkami.

Podobny upadek gwiazd, tworzonych sztucznie, widujemy niejednokrotnie. Tym razem szkoda, rzeczywiście, potężnego talentu, marniejącego od pierwszej chwili, w której dał nam się słyszeć. Olbrzymia technika R. rozwinięta jeszcze za czasów studyów pierwotnych, a nie popierana dziś pracą i logiką, doprowadza go niekiedy do prawdziwych szałów fortepianowych. Struny pękają pod palcami mistrza, instrument ugina się i jęczy; powódź tonów, dzika, nieokiełznana, zdumiewa i ogłusza. Nie tego jednak wymagamy od artysty: technika winna być tylko środkiem dla wypowiedzenia czystej, nieskażonej myśli muzycznej, którą p. R., porwany prądem samowoli, zaciera chwilami całkowicie. W drobiazgach usiłuje on naśladować Alfreda Grünfelda, nie mając jednak jego lekkości, finezyi i wdzięku, nie osiągnie celu nigdy.

Grünfeld skupia niekiedy uwagę całego audytoryum na końcu piątego swego palca, którym ton pierwszego lepszego bawidełka muzycznego przetrzyma tak niespodziewanie, iż wprawi tem w podziw najsurowszych krytyków.

Dosyć spojrzeć na program wykonywanych przez tego artystę utworów, aby dojść do przekonania odrazu, iż nie wkracza on w progi świątyni muzyki z namaszczeniem arcykapłana, mającego pobudzić tłumy do cichej pobożnej modlitwy. Grünfeld chce przedewszystkiem zająć, zaciekawić i cel swój osiąga w zupełności. Gra wdzięcznie, przyjemnie. Tak pieścić się z fortepianem, jak on, tak gładzić każdy ton aksamitnem pianissimem, nie wpadając przytem w przesadę, nie umie żaden inny prócz niego artysta. Znawcy kręcą głowami, słuchając tworów Beethovena, Mozarta i Chopina, wykonywanych przez artystę z tą grą efektów, z tem nagłem przejściem od forte do pianissima, gasnącem stopniowo, niby tłumione westchnienie, które zmieniają niekiedy wolę i intencyę kompozytorów; w końcu i oni jednak składają ręce do oklasków, porwani niewymownym wdziękiem koncertanta. — Gr. działa na tłumy potęgą barwnego swego uroku. Słucha go każdy z uśmiechem na ustach, bije mu brawo najzapamiętalszy sceptyk. Świątynia sztuki, do której nas wprowadza, lśni tęczowym blaskiem skrzydeł motylich. Nie spotkamy tu ani tajemniczości, ani grozy, ani fanatycznej ekstazy: modlitwa płynie jasno, pogodnie, ciepła i szczera, jednając pogodą tą i szczerością serca nawet odszczepieńców.

Miłą nader niespodziankę sprawiło publice warszawskiej ukazanie się potężnej, wybitnej indywidualności artystycznej w osobie młodego skrzypka, p. Kreislera. Młody, nieznany artysta podziałał na słuchaczów wytwornością gry swojej, prądem nerwowym, przechodzącym z pod palców jego na drobny instrument, który pod smyczkiem wirtuoza oddaje najsubtelniejsze odcienie melodyi. Młody mistrz niedorównywa Barcewiczowi w sile tonu, Sarassatemu w potędze temperamentu, a jednak imię jego świecić może wobec dwóch nazwisk powyższych blaskiem odrębnym, niesłabszym i niemniej ponętnym od tamtych. Dziwnym czarem pociąga on tłumy ku sobie; chciałoby się go słuchać zawsze. Technika swobodna, świetna i śmiała, nie olśniewa i nie imponuje odrazu: misterna w każdym zwrocie, każe się podziwiać raczej, jak te drobne rzeźby chińskie, pełne pracowitych, lekką ręką wykończonych szczegółów, w rozpatrywaniu których gubi się oko. Można by nazwać Kreislera Grünfeldem skrzypiec, gdyby by to nie było ze szkodą młodego wirtuoza. Gr. czaruje odmiennie: wdzięk i poezya tonów jego nie mają tej przepaścistej głębi uczuć, jakiemi dwudziestoletni skrzypek przykuwa do siebie. Gr. delikatną swą pieszczotą fortepianową wywołuje uśmiech słodkiego rozmarzenia: Kreisler pozostawia trwałe i niezatarte wspomnienie. Dźwięki jego skrzypiec mają w sobie coś z owych legendowych melodyi, któremi złe lub dobre duchy wabią ku sobie nieufnych. Tak musiał grać Orfeusz, wyprowadzający piękną Eurydykę z dna piekielnych czeluści.

Z gośćmi zagranicznymi wogóle nie zawsze dobrze wiedzie się Towarzystwu, albowiem zawodzą pokładane w nich nadzieje, albo też przyjeżdżają z katarem i z chrypką, jak p. Sanderson, znakomitość europejska, która z powodu choroby zadeklamowała nam raczej, aniżeli odśpiewała kilka piosenek, wykazując świetną dykcyę, frazowanie, barwność, finezyę, uczucie i t. d. w utworach Schumana, Czajkowskiego, d'Alberta, zmieniając jednak rytm kompozycyi Chopina tak, iż trudno je było poznać w jej wykonaniu.

Na co Warszawa słusznie narzekać może, to na brak zupełny tak zwanych kompozytorskich koncertów, które za granicą zwykle cieszą się wielkiem i słusznem powodzeniem, zaznajamiając publikę od razu z całą grupą utworów danego mistrza i uwydatniając przez to charakterystykę jego twórczości. W ciągu zimy afisze raz tylko jeden zapowiedziały nam podobną uroczystość muzyczną: był nią koncert kompozytorski Noskowskiego, do drugiej części którego najniespodziewaniej w świecie wpłotły się nazwiska Brucha, Gounod'a, Sarassatego itd. Swojską muzę zatem nie stać było na wypełnienie całego programu.... U nas tak zawsze: piękne, samodzielne talenty, do jakich bezwarunkowo należy talent p. Noskowskiego, marnieją w pracy na byt powszedni, nie mając czasu rozwijać się dla siebie i dla dobra słuchaczów.

Staraniem sekretarza Tow. Muz., p. Polińskiego, urządzony został miesiąc temu wielki koncert historyczny, mający na celu zaznajomienie publiki ze stopniowym rozwojem muzyki w następujących po sobie kolejno epokach cywilizacyi. Zaczęto tedy od hymnów hebrajskich i melodyi greckich, od pieśni trubadurów i kantat kościelnych, skończono zaś na Beethovenie i Chopinie. Co się działo w małych od 700 do 800 zaledwie osób pomieścić mogących salach Towarzystwa, trudno opisać. Tłum wezbrał falą półtoratysięczną i zbity, na wolnym ogniu prażony, ledwie wytrwał do końca na stanowisku.

Od lat kilku kołacze się projekt wystawienia oddzielnego gmachu Tow. Muz. z obszerną, dobrze wentylowaną hallą koncertową, gdzie za chwilę słodkich rozkoszy muzycznych niepo-

kutowałoby się brakiem tchu i omdlewaniem. Fundusze na budowę owego gmachu napływają bardzo powoli. Jeżeli członkowie zarządu nie obmyślą czegoś nowego, co nagle kasę Towarzystwa wzbogaciłby mogło, to przez długie lata jeszcze, niestety, ciekawe i wielce urozmaicone koncerty w salach Redutowych będą dla nas widmem nieskończonych katuszy. Przebąkują coś o Padarewskim, który w czerwcu ma dać koncert na budowę gmachu: zobaczymy! — Tymczasem myśl nasza zajęta wzniesieniem pomnika Chopinowi na miejscu urodzenia jego, tj. w Żelazowej Woli: 8go b. m. afisze zapowiadają uroczystość muzyczną z dochodem, na cel powyższy przeznaczonym; publika winna podążyć tłumnie, bywa ona jednak u nas kaprysną i lubi świecić nieobecnością wtedy, kiedy najbardziej pragnie się tłoku. Działa na nas reklama: bez niej najświetniejsze siły tracą wabika, najpiękniejsze talenty nie osięgają powodzenia. Cierpimy na brak samodzielności sądów, skutkiem zbyt małego ukształcenia muzycznego: chwalimy to tylko, co rezenzenci, nb. b. stronni chwalić nam każą, ganimy, co oni ganią. Jeżeli stajemy wobec artysty, niepoprzedzonego reklamą, wówczas zakłopotanie nasze nie ma granic: oklaskujemy śpiewaków, najszerzej rozkładających ręce podczas wielkich aryj, najwyżej unoszących się na palcach przy tonach z głowy, najsilniej giestykulujących w chwilach dramatycznych: artyzm szlachetny nie dla nas, umiemy go ocenić wtedy tylko, jeżeli z góry zostanie nam zwrócona na niego uwaga. Czy dojdziemy kiedy do dojrzałego sądu krytycznego? To pytanie, na które od razu chyba należy dać odpowiedź przeczącą. Jak w żadnej gałęzi sztuki, tak i w muzyce nie mamy kierunku stałego: dziś uwielbiamy to, co jutro ganić będziemy. Fala pomysłów zagranicznych przepływa przez mózgi nasze, nie zarysowując się w nich żadnem głębszem upodobaniem. Jak czytamy, oglądamy dzieła pędzla, tak też i słuchamy muzyki tylko według tekstów. Dyletanci we wszystkiem, dalecy jesteśmy od stałego i ściśle określonego kultu w jakiej bądź dziedzinie sztuki.

Cecylja Walewska.

NA WYŁOMIE.

(Nieco o poezyi albumowej. Czem są kobiety nasze i czem być powinny.)

„Panna była prześliczna a szesnaty roczek
Zaledwie z jej błękitnych uśmiechał się oczek"

— ja oczywiście piastowałem godność prymanerwską i w wszystkich jambach, trocheach, sonetach i gazelach kwiliłem o mojem sercu rozdartem. Nigdy jednak nie miałem odwagi z mniej więcej głupią miną i świstkiem welinowym w ręku rzucić jej pod nogi „krwią i łzami pisane piosenki", a gdyby odepchnąć miała, „strzaskać lutnię moją". Nieraz ręką sięgałem do kieszeni... już, już miałem

„..... nad dziewicą
Błysnąć pieśni błyskawicą.

— Chryste! co za rymy! — ale palce moje sztywniały za każdem dotknięciem ukrytego „welinu". Wreszcie — pamiętam — było to w ciszy wieczornej (oczywiście!) w altance ogrodowej (czyżby inaczej być mogło?) — ona lekko pochyliła głowę i wpatrując się uporczywie w czubek śpiczastego bucika, szepnęła:

— Mówił mi Janek, że Pan podobno wiersze pisujesz. Ja... właśnie zamierzałam prosić o wpisanie czegoś do pamiętnika.

Na Perkuna! żadna muzyka nie zagrała mi tak czarowną melodyą w osiemnastoletniej duszy, jak ten szept nieśmiały. Pół nocy siedziałem nad poematem, wyczerpałem wszystkie końcówki na — iła, — ała, — ice i — ości, oplotłem kartkę albumową girlandą kwiatków suszonych i uwieczniwszy w wężowym floresie nagłówek „Do ***", tak zakończyłem wulkaniczny erotyk:

„A choć rozwieje wicher moje kości,
Ścigać cię będzie szept mojej miłości."

(Brrr!)

...Od tego czasu minęło lat wiele, a odkąd zacząłem piórem na chleb zarabiać, nieraz prośba o pamiętnikową poezyą obijała się o uszy moje. Zwykle jednak mamy wyręczały córeczki swoje w tej misyi i biedny rymarz przynajmniej raz na miesiąc słyszał taki mniej więcej konwencyonalny komplement:

— Podziwialiśmy pański wierszyk w „Tygodniku", a Mania postanowiła prosić Pana o jaki drobiazg do albumu.

Uśmiechałem się, schylałem głowę, — no! i „popełniałem" drobiazgi. Z roku na rok jednak rozwijał się mój wstręt do albumowych poezyi, bo jako młodzieniec „bien élevé", świegotać musiałem na liryczną nutę w najróżnorodniejszych pamiętnikach, bez względu na to, czy urocze ich właścielki upatrywały w poezyi jedynie modną dekoracyą, czy też słoneczny promień życiowy, — czy prośba o wierszyk była dowodem istotnej sympatyi dla autora, czy też zdawkowym frazesem lalki salonowej, która wierna przepisom kodeksu towarzyskiego, pragnęła literatowi okazać, że interesuje się sztuką. Sztuka? Wielkie słowo! Ubierają się w nią, jak w brylanty, kwiaty, koronki i mówią z rzeźbiarzami o rzeźbie, poetami o poezyi, malarzami o akwarelach, genre, nature morte, plein air, impressyoniźmie i całym słowniku artystycznej nomenklatury wyłowionej z dziennikarskich sprawozdań. — w rzeczy samej jednak każda plotka miejska przedstawia dla nich większe znaczenie od arcydzieł Brandta lub nowych poezyi Asnyka. Więc mi obrzydła ta salonowa literatura i złocone albumy naszych czarujących nimf i rusałek, ale dziś... dziś chciałbym zgromadzić wszystkie wielkopolskie pamiętniki w biurku redakcyjnem i kornie przepraszając za wstręt do „Sztambuchów", zapisać tam nie rozkwiloną liryką, lecz szarą prozą serdeczne życzenie, błagalną prośbą i hasło życia nowego. W perełkowych wiązaniach sonetów nie przemówię do was, najmilsze, bo repertuar buduarowego Pertrarki już wyczerpany, ale w zwykłych śmiertelników języku pragnę z wami, jak brat z siostrami, pogwarzyć. Wy bez kłamanej miłości dla sztuki, ja bez lutni w ręku łatwiej porozumiemy się niezawodnie na tle pamiętników.

Zdarzyło mi się nieraz słyszeć z ust młodych przyjaciół, dla których szampańska kolacya i mazur rozhukany nie były marzeń najwyższym szczytem, że Warszawianki posiadają czar magnetyczny, którego szukasz napróżno w gronie Wielkopolanek. Nie mam zamiaru analizować bliżej składników tego uroku, ale jest wśród nich jeden dziwnie szlachetnej natury — i o nim pragnę pomówić. Karyerę waszą, moje wielkopolskie panie, określić można w kilku wyrazach: kończycie pensyą i jesteście „pannami na wydaniu". Nic więcej. Z tą samą chwilą, gdy opuszczacie ławy szkolne, kończy się edukacya wasza, bo dalszym jej ciągiem są chyba tylko „godziny sali", jak mówi Sienkiewicz. Olbrzymi zakres wiedzy po za granicami szkolnej nauki nie istnieje dla was, serce wtedy jedynie silniejszem odzywa się tętnem, gdy „On" się zbliża, a energią, wolę i czyn po za miedzą matrymonialnych zabiegów, uważacie za luksus, za monopol brzydkiej połowy ludzkości, za wstrętną emancypacyą, której dobrze wychowana panna unikać powinna. Jesteście jak blade kwiaty oranżeryjne bez woni, jak filigramowe cacka na gotowalniach, a my spragnieni świeżych zapachów i barw gorętszych tem silniej odczuwamy urok Kongresowych sióstr waszych. Widziałem pensyonarki warszawskie kruszące kopje za Spencerem lub Millem, Prusem lub Świętochowskim, a mimo całej pozy i afektacyi, mimo naiwności poglądów i lśniącej frazeologii tych filozofujących podlotków, wsłuchiwałem się z ciekawością w ryzykowne dysputy. Było to wszystko luźną zbieraniną dziennikarskich okruchów, ale świadczyło o ruchliwości umysłowej młodego pokolenia, pożądającego wiedzy i odczuwającego gorąco nie tylko blask czarnych lub błękitnych oczu, lecz tętno życia społecznego. Minęło lat kilka i oto te same dziewczęta z patentem szkolnej dojrzałości opuszczały pensyą, ale mało z nich patent uważało za kropkę wychowania, mało z nich zasklepiło się w ciasnej skorupie matrymonialnych zabiegów. Oczywiście „panna na wydaniu" nie należy nigdzie do rzadkości, ale procentualnie rozpatrując sprawę, znajdujemy po stronie Wielkopolanek przerażający rezultat. Typ warszawskiej „społecznicy" jest u nas wręcz wyjątkowem zjawiskiem, a przecież ten ruch kobiecy złożony jest mimo całej jaskrawości kolorów z szlachetnych i zdrowych pierwiastków. Cóż z tego, że z manii umysłowego doskonalenia rodzi się niekiedy kokieterye wiedzy w niebieskiej pończoszce, cóż z tego, że z pragnienia czynu i działalności społeczno-narodowej wyłania się czasem niebezpieczna junakerya i pogoń za „dreszczem" męczeństwa, cóż z tego wreszcie, że na takiem tle pojawiają się chorobliwe wybujałości w rodzaju feministek warszawskich, — tylko powierzchowny krytyk drwiąc z anomalji ruch cały potępi. Typowym pierwiastkiem „społecznicy" jest zapał i pragnienie czynu, jest świadomość posłannictwa Polki-obywatelki, która nie ogranicza działalności swojej do tryumfów salonowych, lecz pragnie garść ziemi dorzucić do ochronego wału dla zachwianej w podstawach swoich narodowości. Warunki naszego bytu politycznego nakładają na mnie obowiązek pogrążenia obrazu Kongresowych patryotek w mgle domyślników, ale wpoiły w nas przecież rządy opiekuńcze talent magicznej komunikacyi myśli i przeciwną umiejętność języka słów niedopowiedzianych i kropek. Rozumiemy się, — a umysł polski szkic zakordonowych bohaterek pracy wypełni barwami, cieniami i światłem.

Wiem, że głośna skarga zawarta w tem charakterystycznem, „My a oni" zwróci przeciw Sulli wszystkie pociski ironii naszych kobiecych języków, ale jeżeli po za rumieńcem gniewu kiełkować zacznie intencya reformy, z pokorą przyjmę kąpiel Sokratesa. „Uderz ale słuchaj" — mówił przed laty Rzymianin stary. Uderzcie i wy Wielkopolskie panie, ale słuchajcie chociaż z czołem zmarszczonem i drwinami na ustach. Dziś bowiem, gdy nadzieje pokładane w berlińskiej dyplomacyi rozwiały się jak liście jesienne, dziś gdy rzekome ustępstwo ministra oświaty odsłania złośliwe oblicze podstępnego ciosu, dziś, gdy nauka języka pod skrzydłami rządu staje się cieniem i frazesem pustym, dziś nam całą obronę zorganizować należy na fundamencie działalności nie-urzędowej.

To co w innych stronach dzieje się pod groźbą cytadeli i zsyłki, u nas na drodze legalnej po za obrębem szkoły rozegrać się powinno: tu otwiera się szerokie pole dla kobiecej pracy, tu każda Polka bez nadzwyczajnych poświęceń spłacić może haracz Ojczyźnie. Wy, piękne panie, skarżycie się nieraz na nudę, bo walne narady u modniarek, flirt i balowe marzenia wypełnić życia nie mogą. — niechaj każda zatem przytuli dwie polskie sieroty, niechaj im poświęci dwie godziny tygodniowo, niechaj je uczy czytać w przeszłości narodowej i kraj całą duszą miłować, a spełni nietylko misyą Polki — obywatelki lecz spleen Baudelaire'a pragnący „jednem ziewnięciem połknąć całą ziemię" dręczyć jej nie będzie. Musimy bezwarunkowo wskrzesić dawne „kółka rodzinne", a nadto kształcić i siebie w trudnym zawodzie wychowawczym. W tym celu powstać powinny po większych i mniejszych miasteczkach kobiece stowarzyszenie pedagogiczne, które trudniłyby się nie tylko organizacyą domowych szkółek, lecz uposażyły członków swoich na mocy wymiany obserwacyi, doświadczeń i referatów z dziedziny praktycznego szkólnictwa w niezbędne zasoby pedagogicznych umiejętności.

Takie zaszeregowanie sił nauczycielskich jest pewną gwarancyą wzajemnej kontroli i rozwijać pozwala swobodnie grę szlachetnej emulacyi. Różnicy stanów żadnej tu roli odgrywać nie wolno. Córka stolarza i kupca, urzędnika i obywatela przystępują do wspólnej narodowej pracy, a jedynie zdolność wychowawcza i intenzywność patryotycznej energii rozstrzygać może o zaszczytach i kierownictwie w obrębie kółek pedagogicznych. Do dzieła zatem! Pedagogją przyszłość ocalmy! to hasło dnia dzisiejszego.

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika krakowska.

11 kwietnia.

(Echa pokościuszkowskie. — Ś. p. Włodzimierz Łuskina. — Nieznany utwór Mickiewicza,

Bohaterem dni pokościuszkowskich został prezydent naszego miasta. Pana Friedleina wyniosły na to stanowisko jego ważne przymioty: pracowitość, dokładna znajomość stosunków miejskich, prawość i energia w dopilnowaniu urzędników, aby wykonywali swoje obowiązki. Ale okazało się bardzo prędko, że te przymioty prezydentowi miasta Krakowa starczyć nie mogą. W starej siedzibie królów naszych, w grodzie otoczonym aureolą najdroższych wspomnień przeszłości, w mieście wreszcie sporem, bo liczącem z Podgórzem i przytykającemi gminami do 100 tysięcy ludności, wymagać się musi od naczelnika autonomicznej władzy: daru inicjatywy, szerszych poglądów i wogóle zrozumienia tego wyjątkowego stanowiska, jakie Kraków w Polsce zajmuje. Lubo p. Friedlein do tego nie dorósł, mógłby przecież zakrywać umiejętnie swe braki, gdyby miał mniej nieco pewności siebie, gdyby nie chciał polegać na swoim własnym rozumie. Jeżeli w sprawach wewnętrznych, gospodarczych gminy należy zawsze szacować jego zdanie, choćby się miało odmienne zapatrywania, to w sprawach innych, ogólniejszego znaczenia, gdzie idzie o powagę miasta, powinien znowu p. Friedlein zasięgać zdania tych, co jaśniej na rzeczy patrzą, co obejmują swym wzrokiem szersze horyzonty. Tego prezydent naszego miasta zrozumieć nie chce i co chwila podkopuje swe stanowisko.

Uroczystości Kościuszkowskie najwybitniej wykazały wady p. Friedleina. Najprzód nie wziął, a powinien był wziąć inicyatywę obchodu w swoje ręce, złożyć komitet z ludzi poważnych i wybitniejszych ze wszystkich obozów i przeprowadzić rzecz godnie i rozumnie, nie zostawiając jej ludziom niedorosłym do zadania, Nie uczynił tego. a więc popełnił błąd wielki. Drugim z kolei błędem było usunięcie się prezydenta od wypowiedzenia mowy: niechby ona była najkrótsza, ale niechby była; niechby główny przedstawiciel Krakowa i jego mieszczaństwa odezwał się chociaż kilku słowy podczas uroczystości narodowej, święcącej jeden z najpiękniejszych dni przeszłości Krakowa i najpiękniejszy z pewnością dzień mieszczaństwa polskiego. Trzecim błędem była iluminacya gmachów miejskich, tak nędzna, tak nie wytrzymująca porównania z iluminacyami dawniejszymi, że możnaby sądzić, iż Kraków obchodzi najwięcej imieniny jakiejś ekscelencyi, lub urodziny prezydenta miasta. Ale nie na tem jeszcze koniec błędów. Podczas przedstawienia dla ludu „Kościuszki pod Racławicami,“ kiedy z braku miejsc każdy właściciel loży najchętniej do niej włościan zapraszał. pan prezydent pomimo prośby komitetu loży swojej otworzyć nie pozwolił.

Największe jednak oburzenie w mieście wywołał fakt następujący: Komitet wystawił na rynku zaimprowizowany pomnik, przedstawiający przysięgającego Kościuszkę. Był on co prawda nadzwyczaj niezdarny, ale kosztował sporo pieniędzy. Pomnik ten nagle zniknął; rozebrano go w nocy z polecenia prezydenta. Przy rozbieraniu potłuczono go i pozostawiono rozbite czerepy około wieży ratuszowej. Głowa Kościuszki leżała na ziemi, a paupry osadzali je na kiju i mieli ochotę obnosić po mieście. Stała się więc profanacya, — a jednocześnie dokonało się karygodne zniszczenie cudzej własności. Najgorszem jednak było tłomaczenie się prezydenta: powiedział, że kazał rozebrać pomnik na żądanie dyrekcyi policyi. Zkąd dyrekcya policyi mogła podobne rozkazy wydawać? i gdzie są przepisy, nakazujące prezydentowi słuchać podobnych rozkazów? Pomnik był własnością komitetu, a więc tylko komitet miał prawo go usunąć, gdyby zaś tego nie chciał uczynić, wolno było policyi zmusić go do tego, albo na własną rękę rozebranie jego przedsięwziąć. Prezydent własnowolnie naraził powagę swego stanowiska. Wybrany contra partyi konserwatywnej, a więc przez nią nie popierany, stracił dziś zaufanie i wśród partyi postępowej. A jeżeli po tem wszystkiem, co zaszło, nie został zmuszony do zrzecenia się swej godności, to jedynie dla tego, że tak postępowe, jak i umiarkowane centrum naszej Rady miejskiej, nie mają po prostu między sobą nikogo, coby mógł liczyć na większość głosów przy wyborze na prezydenta.

Po uroczystości Kościuszkowskiej pozostały jeszcze inne kwasy. Nie udała się, zakończyła się burdą uliczną, a więc szukamy na gwałt winnego. Sam podniosłem w poprzedniej korespondencyi, że winien po większej części skład komitetu, ale, że taki był jego skład, a nie inny, znowu wina niedołężności ogółu. Wszystkie stronnictwa powinny się uderzyć w piersi i powiedzieć: nasza wina, nasza bardzo wielka wina. Ba! ale któreż ze stronnictw do winy przyznać by się chciało. A więc „Czas“ woła: patrz narodzie, jak te liberały się skompromitowały! „Głos Narodu“, jako pismo antisemickie, jest zdania, że wszystkiemu są winni liberali, „Nowa Reforma“ i żydzi. „Reforma wreszcie rozdziera swe szaty i płaczliwym głosem zawodzi: oto, do czego doprowadzili nas stańczyki. oto rezultat antisemityzmu „Głosu Narodu“! I w setną rocznicę Racławic, setną rocznicę bitwy, podczas której tak się pomięszała krew szlachecka, mieszczańska i chłopska, że wziąwszy garść przesiąkłej nią ziemi, nikt zapewne nie rozpoznał, która krew do jakiego stanu należy — w rocznicę tego powstania, którego dodatnim rezultatem była przedewszystkiem zgoda i jedność lepszych cząstek wszystkich warstw naszego społeczeństwa, kłócimy się zażarcie, rzucamy sobie w oczy wzajemnie oskarżenia, szarpiemy, rozrywamy niszczymy tę wzniosłą ideę, jaka przyświecała na polach Racławic, w murach Warszawy, Wilna i Poznania.

I jeszcze jeden fakt mam do zanotowania; jest on nadzwyczaj smutnym, jeżeli nie okaże się, iż powstał czysto przypadkowo, bez złej woli. Oto w parę dni po uroczystości Kościuszkowskiej dostrzeżono, że srebrny orzeł polski, ozdabiający kopułę odnowionej kaplicy Zygmuntowskiej, został przestrzelony. Strzał naturalnie wypaść mógł tylko ze strony zamku, będącego koszarami wojskowemi. Wobec wybicia szyb komendantowi przez motłoch uliczny, trudno doprawdy się dziwić, że opinia podejrzywa pewną łączność tych faktów pomiędzy sobą, a to tem więcej, iż szeroko rozeszło się echo zajść pomiędzy wojskiem a magistratem i ludnością w Rzeszowie podczas uroczystości Kościuszkowskiej. Zapewne śledztwo wykaże, czy działał tu tylko przypadek, czy też nastąpiła umyślna zniewaga godła narodowego. Dzienniki nasze w ogóle zachowały o tej sprawie „wysoce polityczne“ milczenie.

Już to, że milczeć one umieją nawet tam, gdzie milczenia żadną głębszą myślą upozorować nie można, tego świeżym dowodem jest śmierć Włodzimierza Łuskiny. Była to postać niezwykła, rzadko dzisiaj spotykana, a tak sympatyczna, tak odbijająca od szarego tła pospolitości, że należało jej przecież poświęcić dłuższe wspomnienia. Ponieważ zaś dzienniki miejscowe zbyły ją kilku lub kilkunastu wierszami, niechże więc choć „Przegląd“ wynagrodzi tę krzywdę i choć pobieżnie zawiadomi koło swych czytelników, kogo przed tygodniem odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku.

W innych czasach lub w innych warunkach w innem zresztą mieście i w innem otoczeniu Łuskina wywołałby podziw; patrzanoby na niego jak na fenomen. Posiadał olbrzymie w różnym kierunku zdolności, a czysty charakter i patryotyzm potęgowały jeszcze wartość tego człowieka. Na nieszczęście był nerwowy, zbyt prawdomówny, pogardzający zginaniem karku, a to wszystko razem nietylko dzisiaj nie popłaca, ale się staje klątwą życia. Co prawda do tych stron „ujemnych“ przyłączyły się: dziwactwo, hipohondrya, egzaltacya i nieco mizantropii, ale były to skutki trawiącej go od lat wielu choroby. Urodzony w roku 1849 w Witebsku z zamożnych rodziców, ochrzcony na prawosławnego, bo matka jego była prawosławną, a ojciec zapomniał, że był Polakiem, nie wiedział nawet Łuskina, że należał do naszej narodowości. Odkrył mu to przypadek, a kiedy przeczytał „Pana Tadeusza“, wyrwał się ze swego otoczenia i wbrew woli ojca po dojściu do lat młodzieńczych przybył na studya techniczne do Krakowa. Matematyk pierwszej wody, imponował profesorom swemi zdolnościami. Jednocześnie rozbudził się w nim zmysł wynalazcy. Kiedy w ostatnich czasach opisywano szczegółowo jakąś nową zdobycz na polu aeronautyki, okazało się, że Łuskina już przed 20 laty doszedł do tych samych rezultatów. Ulepszoną jego konstrukcyę granatu nabyło rosyjskie ministerstwo wojny. Z braku środków do życia, kiedy się rozpoczęła mobilizacya wojsk rosyjskich przed wojną turecką, wstąpił jako palacz do służby kolejowej. Na tem stanowisku wytrwał dwa lata, dopóki nabyta w tej służbie choroba nie powaliła go na łoże. Przyszedłszy częściowo do zdrowia, oddał się malarstwu. Nie przeszedł żadnej szkoły, nie odbył żadnych studyów w tym kierunku, a przecież stanął w rzędzie jeżeli nie najpierwszych. to w każdym razie wybitnych malarzy. Pierwszym jego obrazem była „Przymusowa komunia.“ Przedstawił na nim mężczyznę trzymanego przez diaka i popa, który przemocą wlewał wino czerwone do ust „dobrowolnie nawracającego się“. Obraz ten malował w Królestwie i podpisał się na nim pod pseudonimem Odrowąża. Na następnych kompozycyach kładł już własne nazwisko. Wielkie jego płótno „Savonarola“, zyskało uznanie i poklask krytyków. Wkrótce wystawił również spore obrazy: „Król się bawi“ (obiad czwartkowy u Stanisława Augusta) i „Fin de siècle;“ ten ostatni kupiono za granicą. Czuć było w tych obrazach pewien brak techniki, ale zwracały uwagę kompozycyą, kolorytem i pewnym, że tak powiem, rozmachem talentu. Uderzała też w nich wyborna perspektywa, będąca owocem studyów technicznych, zwłaszcza w niedokończonym obrazie „Juljan Apostata“. Jednocześnie z zapałem oddawał się Łuskina czytaniu dzieł historycznych i studyodywaniu strategii, Rezultatem tego była rozgłośna powieść „Wielki rok“, której wprawdzie nie ukończył (wydał trzy tomy, a miało być siedem), ale która stała się poniekąd wypadkiem dnia w bieżącej literaturze. Były w niej wielkie błędy konstrukcyjne, ale porywała tak fantazyą i pojedyńczemi epizodami, że nie pamiętam, czy od czasu cyklu historycznych powieści Sienkiewicza, czytano coś tak chciwie w Galicyi. „Wielki rok“ kreślił przyszłą wojnę europejską, której rezultatem miało być wyswobodzenie Polski. Dłuższa przerwa w pisaniu tej powieści nastąpiła przez aresztowanie Łuskiny w Paryżu. Ponieważ dziwacznie się zachowywał, a pisząc powieść na tle przyszłych wojen rozmawiał chętnie z oficerami, zwrócił więc na siebie podejrzenie, iż jest pruskim ajentem i oficerem. Podejrzenie to ugruntowało się wskutek znalezienia u niego podczas rewizyi notat strategicznych, obliczeń sił wojskowych i t. d. Policya francuzka nie wpadła nawet na myśl, iż oficerem pruskim nie może być człowiek nieznający całkiem niemieckiego języka. Ze sprawą tą połączyła się jeszcze inna. Oto Łuskina przywiózł ze sobą do Paryża obraz przedstawiający katastrofę w Meyerlingu, co nie było znowu na rękę jednemu z mocarstw europejskich. Dwumiesięczne więzienie i to bardzo ciężkie (na łańcuchu wyprowadzano go z celi więziennej) podkopało tak do reszty jego zdrowie, że kiedy powrócił do Krakowa, jasnem było dla wszystkich, iż czas jego ziemskiej podróży niezadługo upłynie. Drżącą ręką pisał dalej powieść i tworzył wielką kompozycyę polityczno-fantastyczną. Na środku obrazu trębacz polski wygrywał pobudkę, a na głos jej powstawały z grobu wielkie postacie rycerskie: Batory, Czarniecki, Kościuszko i it. d.: żołnierze z 1831 roku łączyli się z młodem pokoleniem, rwącym się do boju. Ale jak nie dokończył powieści, tak i nie dokończył tego obrazu. Skończył zato dwa mniejsze obrazki rodzajowe na tle staropolskim, będące własnością prof. Rydygiera. Po-

zostawił żonę i córkę prawie w nędzy. Nad grobem jego nikt nie przemówił — stowarzyszenia artystyczne nawet się na wieniec nie zdobyły. Na łożu śmierci przyjął katolicyzm — dzieci chrzcił w kościele katolickim. Niech na tamtym świecie znajdzie ten spokój, jakiego nie zaznał na ziemi ojczystej, choć ją tak gorąco ukochał, tyle dla zobaczenia jej, dla oddychania jej powietrzem, poświęcił.

Na końcu dzielę się ciekawą wiadomością: W zbiorach po ś. p. Walewskim, zapisanych Akademii Umiejętności, znalazł urzędnik tej naukowej instytucyi, pan Barański, nieznany list Adama Mickiewicza i autograf nieznanego jego utworu z pierwszej epoki twórczości poety. Są nim skreślone uczucia młodej dziewicy w chwili zbliżającej się śmierci.

K. Bartoszewicz.

Korespondencya Paryzka.

(9 kwietnia.)

(Wiosna. — Ministerstwo kolonialne. — Nowości literackie i artystyczne.)

Od dawien dawna nie pamiętał Paryż świąt wielkanocnych tak wesołych i ożywionych, jak tego roku. Po długich dąsach i kaprysach raczyła wreszcie czarodziejka wiosna w mury nasze zawitać. Dawno oczekiwana, upragniona i wyglądana, spadła na miasto nasze nagle bez zapowiedzenia w nocy z Wielkiego Piątku na Sobotę. W Wielki Piątek późno wieczorem wicher, deszcz, niebo czarne — nazajutrz rano strumienie złotego słońca, jasno uśmiechnięte niebo, ciepłe, pachnące powietrze i tłum ludzi pijanych słońcem. Przez całe święta ani jednej chmurki na niebie — to też bulwary i pola Elizejskie, ogrody publiczne roiły się tłumem różnobarwnym, wiosennemi sukniami kobiet, jaskrawością otwartych parasolek. Kolej miejska nie mogła nastarczyć wagonów amatorom wycieczek zamiejskich. Nie tylko miasto, ale okolice, Meudon, Sèvres, St. Cloud — nawet znacznie dalej położony Wersal, te wszystkie lasy i ogrody zalane były poprostu spacerującymi.

Podczas, gdy tak ogół śmiertelnych cieszy się w prostocie duszy młodemu słońcu — w sferach rządzących troski zasępiły czoło. Stworzono ministerstwo kolonialne — bardzo dobrze. Na ministra powołano p. Boulanger, senatora, dotychczasowego prezydenta rady administracyjnej towarzystwa omnibusowego. Wybór nie bardzo się podobał ogółowi. Pan Boulanger, nie zajmujący się dotychczas nigdy sprawami kolonii, ma lat 62, więc późno trochę, by nową rozpocząć edukacyę. Publiczność protestowała dość energicznie głosami gazet — ale wreszcie skończyło się tylko na kilkunastu zjadliwych artykułach, zupełnie nie mających pretensyi zwalić ministra wybranego z najwyższej woli p. Casimir Perrier sankcyonowanej przez senat. Wobec faktu dokonanego pogodzono się z panem Boulanger. Ale teraz nowa nastała trudność. w formie zapytania: gdzie ulokować nowego ministra. Po długich naradach zdecydowano się na pawilon Flory, mieszczący się w jednem ze skrzydeł Luwru, a zamieszkały dotychczas przez prefekta departamentu Sekwany, pana Poubelle. Panu Poubelle wskazano ratusz na nowe mieszkanie. Prefekt Sekwany oponować nie mógł i zdecydował się wspaniałe apartamenty Luwru opuścić, by zająć wskazane mu wiele skromniejsze w ratuszu. — Ale natrafił na opozycyę magistratu, uważającego ratusz za swoją wyłączną i nienaruszalną własność. Próbowano intryg, opozycyi — odzywano się nawet do sądu publicznego — nic jednak nie pomogło — wola rządu okazała się niezłomną i dzisiaj p. Poubelle zajmuje ratusz, mimo kwaśnych min magistratu. Tak się zakończyła ta burza w szklance wody.

1-szy maj, dzień święta robotniczego, zbliża się. Tak w Paryżu, jak na prowincyi reprezentanci cechów zaczynają się zbierać na walne narady. Z tego, co dziś sądzić można, spokojowi Francyi i porządkowi publicznemu nic nie grozi. Odbędzie się prawdopodobnie kilka manifestacyi zupełnie niewinnej natury, jak to miało miejsce w przeszłym roku; będą uczty, i mowy, i pochody — a po skończonym dniu wszyscy się spokojnie do domów rozejdą. Chyba może anarchiści z dobrej okazyi skorzystać zechcą i po swojemu głupio a okrutnie opinje swoje dzikie zamanifestować. Przypuszczać jednak można, że śmierć Pauwells'a i liczne aresztowania kilkunastu ostatnich dni dadzą im do myślenia. Nie ma prawie dnia, by gazety nie podawały całej długiej listy nazwisk aresztowanych anarchistów, mężczyzn i kobiet. Rząd zdecydował się wreszcie na energię. W ostatnich dniach zniesiono w imię spokoju i porządku, publicznego grób Vaillant'a. Ciągłe manifestacye, mowy, podżegające do zemsty i buntu na Champ des Supplices, koło wzniesienia, okrytego kwiatami, koronami i symbolicznymi znakami, na grobie Vaillant'a, sprzykrzyły się wreszcie policyi. Chcąc raz pielgrzymkom koniec położyć, zniesiono wszelkie korony, napisy i symbole, ziemię zrównano i zasypano żwirem. Można sobie wyobrazić, jak „profanacyę“ ową przyjęli admiratorzy i wierni „Świętego Męczennika“.

Gdy już mowa o anarchistach, wspomnieć muszę o ciekawem dziele, wydanem przez p. Féliksa Dubois w księgarni Flammarion'a. Tytuł: „Le péril Anarchiste“. Jest to historya wyczerpująca partyi anarchistycznej. W książce tej znajdują się wszelkie żądane objaśnienia co do anarchii; jej doktryna i jej apostołowie, organizacya sekretna i rezultaty. To wszystko poparte dokumentami niezbitymi, i rysunkami. Przepowiedzieć można p. Dubois wielkie powodzenie — bo książka co się zowie na czasie.

Zaledwie kilka tygodni oddziela nas od corocznej wielkiej paryzkiej uroczystości otwarcia salonów wystawowych Pól Elizejskich i Pola Marsowego. Komitet salonu Pól Elizejskich zakończył już przegląd i wybór nadesłanych prac. Rezultaty jeszcze niewiadome. W artystycznej dzielnicy, koło placu Pigalle, wre jak w ulu. Niepokój i niepewność niejednemu długowłosemu czcicielowi sztuki odbiera sen i apetyt. Pole Marsowe, zawsze później otwierające Salony, jeszcze się do pracy przeglądu nie zabrało. Prezydentem jury Pola Marsowego mianowany został Puvis de Chavannes; prezydentem jury Pól Elizejskich znany artysta i sympatyczny profesor akademii malarskiej Juliana, Tony Robert Fleury. Akademja Juliana w przeszłym roku wskutek kabały tak strasznie, a tak niezasłużenie zmaltretowana, obiecuje sobie w tym roku użyć świetnego rewanżu.

Ale nietylko wystawy obrazów mieć będziemy w ładnym miesiącu maju. Obiecują nam także kongres sztuk dekoracyjnych. Potrzeba rady daje się rzeczywiście żywo uczuć wobec znikającego, dobrego smaku, wobec wzrastającej obojętności Paryżan, wynikającej właśnie z niezadawalniających ją rezultatów — a zwłaszcza wobec ciągłych a niepokojących serca francuzkie postępów krajów sąsiednich, w których miłość do sztuki i gust z dnia na dzień się rozwijają. Temu smutnemu stanowi rzeczy zaradzić ma ów zapowiedziany kongres „monstre“ — którego z ciekawością oczekujemy, z ciekawością i — niedowierzaniem, bo wszelkie kongresy — rzecz przecież powszechnie wiadoma, że nigdy i nigdzie nic prawdziwie pożytecznego i nowego nie zdziałały.

Przeglądałem w księgarni nowości literackie, gdy wpadła mi w rękę powieść „Gladys“. Autor, znany i utalentowany Hugues Le Roux, przedmowa do dzieła napisana przez Pawła Bourget. Wystarczyło to, by mnie zainteresować. Zabieram książkę do domu — czytam ją i zamykam z uczuciem nieopisanego niesmaku i gniewu. Fabuła, ogołocona z świetnego stylu autora, przedstawia się monstrualną cynizmem. Trudno pojąć, że tak inteligentny i utalentowany człowiek, jak Hugues Le Roux mógł się do tego stopnia zapomnieć. Równie trudno pojąć, że poważny i poważany Bourget napisał do tak wstrętnej książki przedmowę, w której nas w dodatku zapewnia z największem namaszczeniem, że wypadki opisane w książce zdarzają się w świecie codziennie, i że on sam między znajomymi liczy dużo ludzi podobnych do bohatera powieści. Można mu tylko powinszować podobnych znajomości!

A. Y.

Z estrady i sceny.

Trzeci koncert Artura Argiewicza.

W zeszłą Sobotę występował młodociany artysta w Teatrze polskim w międzyaktach i odegrał koncert A-moll Spohr'a Nr. 8 znany pod nazwą „Gesangscene“ prócz tego Nocturn Hausera i Pieśni cygańskie Sarasatego. Repertuar młodego skrzypka jest widocznie wielostronny i bogaty; za każdym występem usłyszeli słuchacze nowe kompozycye. Za rychło jednak wziął się młody artysta do utworów Spohr'a. Technika odrębna wybitnego wirtuoza i kompozytora wypływała tak z budowy jego ręki, jak i wogóle z całej indywidualności, skłaniającej się do słodkiego marzycielstwa. Zdaje się, że dotąd mało się koncertant młody zajmował utworami sławnego założyciela szkoły kasselskiej, dla tego też nie zdołał się zapoznać z właściwościami odrębnej tej szkoły. Spohr jako kompozytor jest na wskroś lirykiem; jego kompozycye odznaczają się znakomitem wykończeniem formy, pomysły melodyjne i z takowych wypływające pasaże pozostają zawsze w ścisłym związku duchowym do całości, odznaczają się nadto zawsze tak szlachetnością jak i głębokością uczucia. Jedyny zarzut możnaby uczynić utworom i to, że za mało posiadają kontrastów w głównych tematach, jednostajnym zaś nastrojem i zbytnią uczuciowością wywołują u słuchaczy łatwo znużenie. Wykonany koncert należy mimo to do najpiękniejszych utworów niezbyt bogatej literatury koncertowej na skrzypce. Dla licznych zaś ustępów pisanych w podwójnych tonach zaliczany bywa do najtrudniejszych utworów Spohr'a. Choć technika, jaką obecnie posiada Artur Argiewicz jest znaczna, to jednak nie wystarcza do poprawnego wykonania technicznych trudności w Spohr'a koncertach i nieraz uważny słuchacz życzyłby sobie więcej biegłości i równości w gamach chromatycznych, jasności i dokładności w podwójnych tonach i więcej wygładzenia w połączeniach z sobą różnych pozycyi. Mimo tych usterek technicznych, całość tak pod względem pojęcia jak i ekspresyi żywo mnie jednak zainteresowała. Arcyudatne wykonanie Nocturna Hausera „Mes adieux à Varsovie“ zachwyciło mnie prawdziwie. Ton nabrał tu miescami wielkiej siły i pewności; podwójne tony odznaczały się rzadką czystością, wykonanie kantyleny wprost chwytało za serce. Zdawało się, że ten przypadkowy napis „Mes Adieux à Varsovie“ wpłynął dodatnio na wykonanie utworu, wywołując niezwykły nastrój u genialnego dziecka. Tą szczerością uczucia i głębokim smutkiem płynącym wprost z serca w swych pragnieniach zawiedzionego, rozbrzmiała również obca melodya w Pieśniach cygańskich Sarasatego, a szalony finał, w którym się tak dosadnio maluje dzikość natury cygańskiej, choć dziś przerasta jeszcze siły młodego artysty, był wykonany z werwą i humorem.

Szkodę wielką wyrządzonoby sztuce muzycznej, gdyby dla zbyt częstych występów na estradzie koncertowej, zaniechano dalszej systematycznej pracy i nauki. Pogłębić grę, rozszerzyć widnokrąg nietylko muzyczny, ale i naukowy, rozwinąć harmonijnie wszystkie wrodzone zdolności genialnego dziecka, oto zadanie ojca i przyszłego nauczyciela Artura Argiewicza. Wtenczas dopiero stanie się on z instynktowo czującego cudownego dziecka genialnym, a swego celu i powołania świadomym artystą.

Ed. Jahnke.

Przegląd teatralny

(Przyjaciel kobiet, komedya w 5 aktach przez A. Dumasa (syna). Panna z posagiem, komedya w 1 akcie przez Józefa Blizińskiego. Pan i pani, fraszka w 1 odsłonie przez Abr. Dreyfusa. Albo niebo, albo piekło, komedya w 1 akcie przez Leona Madeyskiego.)

Obejmując z dniem dzisiejszym redakcyę działu teatralnego w „Przeglądzie,“ wyznaję szczerze, że zawieram kompromis pewien z trudnemi warunkami sceny poznańskiej. Nasza „świątynia sztuki“ jest skromnym teatrzykiem prowincyonalnym, cierpiącym na bezustanne suchoty finansowe, a ztąd trudno wymagać, aby pierwszorzędne siły dramatyczne na takiej występowały arenie, trudno żądać świetnej sceneryi, wspaniałej wystawy i stylowych kostyumów tam, gdzie dyrekcya skrzętnie grosz do grosza gromadzić musi, aby uiścić się z terminowych zobowiązań. Obniżam zatem artystyczne pretensye i mam na ustach rozgrzeszające „Absolvo“ wobec wielu znamion scenicznego ubóstwa, ale nie przypisując krytyce roli nadwornego panegirysty teatru i nie sympatyzując z nędzarzami udającemi grandów hiszpańskich, nazywać będę w ramach powyżej określonej koncesyi po imieniu błędy i zalety.

Tam, gdzie gwiazdy teatralne zaledwie w przelocie ukazują się na horyzoncie, starać się powinna dyrekcya i reżyserya przedewszystkiem o stworzenie harmonijnego ensemble'u, który, jak wiadomo rozniósł po świecie szerokim sławę Meiningeńczyków, choć w gronie tych artystów nie było pierwszorzędnych talentów. Zaprowadzając pewne zmiany w składzie teatru naszego i powierzając kierownictwo zdolnemu reżyserowi, możnaby w tym kierunku mimo szczupłych środków finansowych dodatnie osięgnąć rezultaty, dziś jednak wbrew opinii „Posener Ztg.“ ensemble'u nie ma w teatrze polskim. Jeżeli zaś istotnie przedstawienie „Gniazda rodzinnego“ odznaczało się nietylko zręczną sceneryą, lecz i harmonijnem współdziałaniem artystów, to bywalec teatralny odkrył tam natychmiast pilnik i komendę p. Ludowej — warszawskiego gościa. W zwykłych warunkach scenerya i ensemble inne ukazują oblicze, a tylko w mniejszych jednoaktówkach, gdzie scen zbiorowych nie wiele i sytuacye proste, nie krzyczy nad uchem dysonans.

Czwartek i sobota — dwa przedstawienia i dwie odmienne fizyonomie. Powołana do nowego życia pięcioaktowa komedya Dumasa (syna) „Przyjaciel kobiet“ wywarła na mnie wrażenie dramatycznego ćwiczenia. Co chwila coś się haczyło i zacinało, wątek dyalogu rwał się widocznie, ensemble odznaczało się nieraz ruchem sztucznym i nienaturalnym, a gdzieniegdzie drażniły opóźnienia i flirt namiętny z szeptającym suflerem. Nadomiar bohater sztuki, p. Knapczyński, stworzył typ tak mglisty, że publiczność spoglądała długo na elegancko nakreślony znak zapytania, a gdy ostatecznie rozwiązanie fabuły klucz zagadki podało, spoglądano z pewną nieufnością na „przyjaciela kobiet“ i uwierzono może autorowi nie wierząc artyście. P. Wróblewska w roli Joanny de Simorose nie miała wprawdzie — tu przepraszać muszę jednego z krytyków poznańskich — ani „greckiego temperamentu, ani wykwintności francuzkiej“ ale znalazła w niektórych scenach kilka tonów ciepłych i szczerych, uwydatniała grę uczuć z wyrazistością pewną i niemą nie była ani jednej chwili. Pomijając nieszczęśliwą postać p. Królikowskiej, która mimo bohaterskich wysiłków pozostała polską małomieszczanką, zamiast odtworzyć typ salonowej Paryżanki, zapisuję tu uznanie dla namiętnej gry p. Sosnowskiego, chociaż nieco jednostajny charakter „syna gór“, nie pozwolił zdolnemu artyście odsłonić tej umiejętności cieniowania, która jest pierwszorzędną zaletą talentu jego. Nie pojmuję tylko, dla czego pan Sosnowski na benefis swój podniósł z rupieci jednę z najpłytszych i najsłabszych komedyi Dumasa, w której nawet francuzkiej zręczności znaleźć niepodobna. Czyż i najlepsi artyści sceny naszej rozkochują się w dzień benefisowy jedynie w afiszu, w „pikantnym“ tytule?

Sympatyczniej przemówiło do nas sobotnie przedstawienie, na które złożyły się trzy jednoaktówki, odegrane w tempie dość żywem, bez milowych przestanków i rozdźwięków rażących. Tylko układ obrazów i rysunek grup jak zwykle dłoni mistrza nie zdradzał.

„Panna z posagiem“ to jeden z pierwszych utworów scenicznych Blizińskiego, odkryty w literackiej spuściźnie sympatycznego autora. Stosunki i ludzie tam nie dzisiejsi, wszystko to kąpie się w mgle przeszłości jak opowiadania babuni. Nie ma w komedyi Blizińskiego żadnych starć gwałtownych i nerwowych zaburzeń, tylko liryzm serdeczny i wiejska pogoda. Charaktery proste, w jednym tonie utrzymane, ale nieco blade i martwe. Akcya, dość żywa, posiada jeszcze znamiona scenicznego nowicyatu, zdradzając nieraz naiwnemi sytuacyami i sztucznem wiązaniem ambaras autorski.

Hnmorystyczny dyalog Dreyfusa „Pan i Pani“, to fraszka napisana dla szkół dramatycznych, coś w rodzaju egzaminowego zadania. Efekt bluetki zależy jedynie od artystów, aktor jest tu istotnym autorem, nie treść, lecz gra stanowi o wartości sztuki. Całą zasługę powodzenia fraszki niemieckiej przypisać zatem wypada p. Ziembińskiej i p. Łaskiemu. Pierwsza mianowicie zadąsanie i rozkapryszenie zalicza do najlepszych atutów swojej twórczości, a drugi charakterystyczną ruchliwością pobudzał publiczność do bezustannych wybuchów wesołości. Jedna tylko uwaga: P. Łaski powinien w studyach mimicznych przed zwierciadłem zwracać baczną uwagę na układ nóg swoich, które niekiedy bujają nieświadomie w cyrkowych piruetach i holendrach.

Błąd ten mniej raził w komedyjce Madeyskiego „Albo niebo albo piekło“, w której reżyser teatru naszego po raz trzeci tego samego wieczoru wystąpił. Takich potrójnych popisów radzę panu Łaskiemu nietylko w interesie sztuki, ale również w jego własnym interesie unikać. Znam mało artystów, którzy posiadają taką błyskawiczność kameolonową, aby zamieniać w przeciągu dwóch godzin bohatera Blizińskiego na postać Dreyfusa, a z Dreyfusa przejść jako typ nowy do Madeyskiego.

Budzą się w takich warunkach z natury rzeczy reminiscencye, a publiczność widząc Stefana myśli o Leonie i pogodzić się nie może z nową sytuacyą i nowym człowiekiem. Takich niezręczności reżyserskich tam mianowicie unikać wypada, gdzie sztuka sama nie zaleca się żadną wybitniejszą wartością i jedynie w pięknych ramach teatralnych w świeżości i plastyce scenicznej znaleść może ocalenie. Budowa jednoaktówki p. Madeyskiego jest dosyć zręczna, ale mimo znośnego rysunku, razi tam bezustannie brak nerwu życiowego i prawdy. Jakieś suwanie i szufladkowanie zjawia się co chwila, a przytem ludzie nie nowi i zamgleni, pomysły zużyte i rozwiązanie banalne, psychologicznie nieprzygotowane. Mimo to jednak komedyjka dzięki świetnej w najdrobniejszych szczegółach grze wujaszka Rocha (p. Trapszo) i wytwornej a subtelnej Malwiny (p. Przybyłko), przykuła miejscami uwagę widzów i żywą barwą jaśniała. Obcą mi jest manja wieńczenia „nowych“ talentów, ale byłoby niesprawiedliwością pominąć milczeniem grę Benjaminka teatru naszego, panny Przybyłko; w dyalogu miłosnym młodziutkiej artystki z p. Knapczyńskim dźwięczał jej głosik srebrny taką szczerą nutą, fizyonomja mieniła się tak naturalnie i ruchy wyzwoliły się do tego stopnia z dawniejszego przymusu i szkolarstwa, że po roli Malwiny możemy śmiało dla artystycznej przyszłości p. Przybyłko pomyślny postawić horoskop. Tylko nam nie zepsujcie tego talentu zwracając go w fałszywym kierunku. W rękach nieumiejętnego ogrodnika marnieje najżywotniejsza roślina.

W. R.

KRONIKA LITERACKA.

— Jan Zubrzycki. Filozofia architektury, jej teorja i estetyka. Kraków, nakładem autora, 1794, str. 97,

Nad historją architektury kraju naszego dosyć już pracowano, ale sama część filozoficzna architektury jako sztuki pięknej, sama estetyka architektury nie była w naszej literaturze naukowo traktowaną. Autor pragnie ten brak zastąpić i dla tego treść swej książki poświęcił niektórym zagadnieniom estetycznym z zakresu sztuki architektonicznej. Zamierzył ująć w pewne normy, naturalne a nie sztuczne przepisy, tworzenie dzieł pięknych i estetyczne w nich upodobania a to na podstawie tak psychologji, jak i zastosowania praktycznego. Wgłębiając się „w sprawy ducha, obierającego sobie za przedmiot architekturę“, chce autor stworzyć „jakoby rodzaj ustawy estetycznej i intelektualnej“. Uporządkowane w ten tposób myśli, sentencje, badania i prawidła, podanie skali mierniczej do bestronnego i abstrakcyinego sądu o dziełach architektonicznych, stanowią według autora filozofią architektury „gdyż w niej teorja i estetyka znajdują jednocześnie swe prawa najogólniejsze“. Po określeniu piękna, przechodzi autor do historji architektury na tle dziejów ludzkości. Następnie wyznacza jej odpowiednie stanowisko w gronie sztuk pięknych i przeprowadza porównanie jej z muzyką. Poświęciwszy osobny rozdział technice i estetyce, zastanawia się autor nad pięknem i symbolizmem w architekturze. Ostatnie rozdziały poświęcone są stylowi, składni architektonicznej, wzniosłości w architekturze. Autor chciał rzecz wyłożyć przystępnie, aby nie tylko interesowała ludzi zawodowych, ale i miłośników sztuki, interesujących się rozwiązywaniem pytań z dziedziny piękna. Ważną ku temu przeszkodą jest styl autora nadzwyczaj ciężki i zawiły. Dziwna rzecz, iż ludzie „zawodowi“ chcący pisać dla szerszego ogółu, nie umieją zrozumieć, że kto nie posiada zdolności pisarskich, ten powinien koniecznie postarać się o pomoc literacką przed oddaniem rękopisu do druku. A najwięcej o tem należy pamiętać tym, co piszą o pięknie, bo czyż wypada o pięknie pisać.... niepięknie.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Warszawskie Echo muzyczne etc. podaje portret i nekrolog młodego pianisty Ottona Hegnera i donosi, że genialny artysta zakończył nagle życie w Ameryce podczas koncertu w nieznanem mieście. Tymczasem z gazet niemieckich dowiaduję się, że młody Hegner cieszy się najlepszem zdrowiem i kształci się u jednego z wybitnych niemieckich nauczycieli muzyki w Niemczech. *E. J.*

— Z odnalezionych a dotąd nie publikowanych listów genialnego pianisty i kompozytora Fr. Liszta, z których jeden wystósowany był do dyrektora Umeleckej Besady, B. Smetany, twórcy opery „Sprzedana niewiasta“ i innych, dowiaduję się, że Liszt napisał i przesłał dyrekcyi wym. Towarzystwa „Hymn Słowiański“ na uczczenie 1000-letniej rocznicy zaprowadzenia chrześcijaństwa przez św. Cyryla i Metodego. Hymn wedle słów Liszta wykonany był po raz pierwszy w kościele św. Hieronima (Dei Schiavoni) w Rzymie w dniu 3 lipca 1863 r.

Listy i partytura oryginalna znajdują się w posiadaniu bliżej niewymienionego zbieracza starych dokumentów w Pradze. *E. J.*

— Zuany lekarz poznański i archeolog p. radzca dr. Koehler pracuje obecnie nad dziełem naukowem p. t. „Historya drukarni w Lesznie“.

— Słynne towarzystwo literackie „gens de lestres“ mianowało w miejsce Emila Zoli prezesem swoim poetę Jana Aicarda. Na mocy statutów piastować nie może jedna i ta tama osobistość dwukrotnie urzędu prezesa.

BIBLIOGRAFJA.

— Łapczyński Kaźm.. Flora Litwy w Panu Tadeuszu. Kraków. 1894. — 1,70 mk.

— Mickiewicz Wład. Żywot Adama Mickiewicza, podług zebranych przez siebie materyałów, oraz z własnych wspomnień. Tom III. Poznań 1894. — 7 mk.

— Prus Bol. (Głowacki Al.) Emancypantki, powieść w 4 tom. Warszawa 1894. — 13,50 mk.

— Sewer. Nafta, powieść w 5 tom. (poświęc. P. Chmielewskiemu). Warszawa 1894. — 7,50 m.

Odpowiedzi Redacyi

— **Bo..bd.. we Lwowie.** Za korespondencyą dziękujemy serdecznie, ale ze względu na formę kuryerkową umieścić jej nie możemy. Przekazaliśmy ją jednemu z dzienników miejscowych, który numer odnośny na życzenie nadeśle Szanownemu Panu. Na stałe współpracownictwo w stylu odpowiednim charakterowi pisma naszego zgadzamy się chętnie. Prosimy odsłonić przyłbicę.

— **Panu Długoszowi w Gnieźnie.** Za życzenia pezesyłamy gorące uściśnienie ręki. Wiersz ukaże się w nr. 4. Artykuł o obłudzie zamieścilibyśmy chętnie, gdyby współpracownik nasz „Sulla“ kwestyi tej nie poruszył już w podobnym duchu. Wkrótce porozumiemy się listownie w sprawie stałego współpracownictwa.

— **Panu T. w N.** Owszem.

Sprostowanie.

— Do nr. 2 zakradły się następujące omyłki:

— W artykule „Co dalej“ czytać należy zamiast „usunięcie się“ — usunięcie, zamiast „rzeczony“ — rzeczowy.

— W artykule „Apostołowie mierności“ czytać należy zamiast „brzęk szału“ — brzęk szkła.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.